Nr. 37. Lwów — Piątek dnia 16 Lutego. Rok 1900.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h, w Niemczech . . . . 3 „ — „, w innych Państwach . . 4 „ — „. Za zmianę adresu dopłaca się 40 „. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu. Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k. Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h. na prowincyi . . . . 12 h. Numera z poprzednich dni po 20 h.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9. Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenie na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h. W ogłoszeniach drobnych za każde słowo 4 h. Tłustym garmondem . . . . 6 h. Tłustym drukiem . . . . 8 h. Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . 60 h. Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k. Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h.

Dziś: św. Julianny P. — Izydora Prep. Jutro: św. Konstancyi P. — Afaftyi M.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca o g. 7 m. 13. Zachód „ „ 5 m. 16. Długość dnia godzin 10 m. 3. Przybyło dnia od wczoraj 3 m.

Wojna z duchowieństwem we Francyi.

W ostatnią niedzielę, w nocy, zebrała się w Paryżu rada gabinetowa pod prezydencyą Loubeta i jednogłośnie uchwaliła zażądać od parlamentu następującej zmiany paragrafu 204 kodeksu karnego: „Za nieprzyjaźne rządowi lub w ogóle podburzające wystąpienie może być każdy członek religijnego zakonu skazany na wywołanie z kraju. Tej samej karze podlega duchowna osoba którogobądź wyznania za ustne lub pisemne oświadczenie, zawierające potępienie, albo ośmieszenie aktów rządowych, lub też czynów przedstawicieli władzy państwowej. Również takiej karze podlegają te duchowne osoby, które w jakikolwiek sposób przyczyniają się do rozpowszechnienia podobnych oświadczeń“.

Tak zwięźle brzmi wyjątkowa a drakoniczna ustawa, obmyślona przez rząd na pognębienie kapłanów katolickich — bo o nich tu jedynie chodzi, chociaż we wniosku rządowym powiedziano w ogóle o duchownych osobach jakiegobądź wyznania. Dlaczego rząd bez zapowiedzi, nagle, w nocy zebrał się, aby ułożyć tak okrutne postanowienie? Oto dlatego, że musiał siebie ratować od grożącego mu upadku. Zbliżająca się wystawa, podczas której znajdą się w Paryżu niektórzy monarchowie, a między nimi może i rosyjski — festyny, kongresy, których sto już zapowiedziano, olśniewające parady, uczty, zaszczytne i może korzystne przyznawanie dyplomów — to wszystko zechęca wielu polityków francuskich do ubiegania się o ministeryalne stanowiska. Bourgeois, Sarrien, Ribot, Freycinet — wszyscy oni pragną obalić gabinet Waldecka-Rousseau i zająć jego miejsce. Więc w parlamencie paryskim wrą intrygi i raz po raz podnoszą się maczugi na gabinet. Właśnie w poniedziałek z rana miała się odbyć utarczka z rządem z powodu postawy biskupów w sprawie rozwiązanego zgromadzenia księży Assompsyonistów. Ci biskupi, między nimi zaś najdosadniej arcybiskupi Paryża i Aix, oraz biskup w Tulle, potępili postępowanie rządu, za co on odebrał im pensyę. Ledwo to się stało i dzienniki o tem doniosły, wnet posypały się publiczne składki na rzecz biskupów. Listę składek, złożonych w redakcyi dziennika *La Croix*, zamknięto w pierwszym dniu kwotą przeszło 37.000 franków. Republikanie ujrzeli w tem groźną demonstracyę i po raz nie wiedzieć który krzyknęli, że republika jest w niebezpieczeństwie. W parlamencie zakotłowało, ze wszystkich stron odezwał się wężowy syk intryg. We Francyi, cokolwiek się stanie, zawsze rząd winien, zawsze on musi być obalony, jak gdyby to odrazu zmieniało sytuacyę nie w parlamencie, ale w kraju. Już tedy zaczęto myśleć nad wyzyskaniem postawy biskupów na szkodę gabinetu. Ribot, Bourgeois i Freycinet, wziąwszy się za ręce, skłonili deputowanego Rouaneta do wniesienia interpelacyi, wyrażającej rządowi naganę. Właśnie wtedy biskup z Tulle dolał oliwy do ognia listem publicznym do prezydenta gabinetu p. Waldeck-Rousseau, ponieważ tak pisał: „Odebrałeś mi pan środki do życia. Ten drakoniczny czyn przeraził mię, bom ubogi, a mam dużo biednych, ale się nie skarżę, albowiem jest sprawiedliwość wyższa nad wszelką ludzką, a ta, jak tuszę, uniewinnia mię. Zresztą miłość ludzka nad miarę powetowała mi krzywdę wyrządzoną przez pana, a niezliczone dowody współczucia, jakie zewsząd odbieram, wskazują mi, że ludność już osądziła czyn pański. Ponieważ minister spraw zagranicznych doniesie Ojcu świętemu o pańskiem zarządzeniu, więc niechże przy tej sposobności zapyta go, czy to, co czynicie, zgodne jest z konkordatem i żali nie narusza praw Kościoła, nie targa się na jego powagę. Nie o mnie chodzi, lecz o prawa katolickiej Francyi do głoszenia prawdy. Chciej więc pan spełnić moją prośbę — i ten jest cel niniejszego listu“. To pismo oburzyło radykałów i socyalistów, stojących po stronie gabinetu. Socyalista Viviani wniósł dodatkową interpelacyę, która razem z rouanetowską miała być roztrząsana w poniedziałek z rana. Trzeba więc było rządowi wystąpić z czemś nadzwyczajnem i zadziwić śmiałością, wstrząsnąć, przerazić i cały świat masoński przykuć do swego rydwanu, a potem głośno się zasmiać z wysiłków Freycineta, Ribota i Bourgeoisa. Mistrzem jest Waldeck-Rousseau w urządzaniu takich efektów, więc oto w ostatniej chwili obmyślił wniosek, który przytoczyliśmy wyżej, poranne dzienniki ogłosiły go — i oto odrazu opadła fala, która miała zdruzgotać gabinet: Viviani cofnął swą interpelacyę, ponieważ — jak rzekł — zapowiedziano jędrne czyny rządowe przeciw „klerykalnej hydrze“. Socyaliści, radykałowie, bracia masońscy — a tych połowa izby — oklaskami witali to oświadczenie Vivianiego, poczem i Rouanet musiał wycofać swą interpelacyę. Wzrokiem dumnego zwycięzcy Waldeck-Rousseau zmierzył Ribota i Bourgeoisa — on był tryumfatorem!

A że ma się stać coś bardzo ohydnego; że w kraju, w którym wszystkim wolno głosić swe przekonania, nawet swe najgorsze zmyślenia, jedno tylko duchowieństwo katolickie ma być ścigane za zgłoszenie protestów przeciw krzywdom — to przecież nie może zastanawiać masonów. Niewątpliwie każdy rząd ma prawo domagać się od biskupów, aby mu nie szkodzili, albowiem oni do pewnego stopnia są władzą z ramienia rządu. Ale już zakonnicy wcale nie są zawiśli od rządu, a więc mają wszystkie te prawa, co każdy obywatel, każdy wyborca, każdy dziennikarz. Czemuż więc tym wolno głosić o rządzie, co się spodoba, a zakonników za to czeka bannicya? Dodajmy jeszcze to, że karze wypędzenia z kraju mają podlegać księża, którzy, spełniając rozkaz swego biskupa, przyczynią się w jakikolwiek sposób do rozpowszechnienia krytyki rządu. A więc, jeżeli się znajdzie biskup, który nie ulęknie się kary, to nie będzie mógł wygłosić swego zdania inaczej, jak chyba ustnie. W końcu — ta kara bannicyi! — to odebranie obywatelowi ojczyzny za to jedynie, że skrytykował ministra, który może wczoraj był niczem i jutro będzie niczem — cóż to za okrucieństwo, czyniące nawet ze złoczyńcy ofiarę!

Zaiste, cywilizacya demokratyczna staje się przerażającem barbarzyństwem. Wielka uroczystość cywilizacyjna przygotowuje się w Paryżu — wystawa. Niechże na jej bramie głównej będzie przybity teraźniejszy wniosek gabinetu Waldecka-Rousseau!

Atak jenerała Robertsa.

Ważne wypadki nadchodzą w Afryce południowej — zbliża się chwila bardzo krytyczna, bardzo dla Boerów ciężka, która może zupełnie zmienić postać rzeczy na teatrze wojny. Jenerał Roberts świetnie zamaskował swe ruchy, tak potrafił ustawić swe wojska, iż się zdawało, że idzie na południową granicę Oranii. Tam też przygotowali się Boerowie na jego przyjęcie, obsadzili wszystkie przesmyki, wznieśli szańce dokoła Colesbergu, gdzie są brody przez rzekę Oranię, ściągnęli zewsząd armaty i wolne wojska, a uczyniwszy to wszystko, głosili, iż są gotowi na wszystkie możliwe wypadki. Lecz stary wódz, którego wojna wyhodowała i z żołnierskiego stanu wyniosła na czoło armii angielskiej i do godności lorda, zrobił w ostatniej chwili, nie naruszając swego szyku, zwrot niemal błyskawiczny na lewe swe skrzydło, połączył się z korpusem jenerała Methuena i swą hetmańską buławę wyciągnął w stronę Kimberleyu. A stamtąd właśnie Boerzy ściągnęli znaczną część swych zastępów, aby niemi wzmocnić te punkta granicy orańskiej, na które, jak się zdawało, szedł Roberts. — O tym błyskawicznym manewrze dowiedziano się w Europie z oświadczenia angielskiego ministra wojny lorda Lansdowne'a, który na interpelacyę: czy Methuen jeszcze jest dowódzcą korpusu nad Modder-River? odpowiedział, że tam dowodzi Roberts. Piorunowe wrażenie sprawiła ta odpowiedź, bo w lot zrozumiano, że stało się coś niezmiernie ważnego. Jakoż istotnie przerzucenie się Robertsa o kilkadziesiąt mil w bok z chyżością niezwykłą i w tajemnicy ogromnej jest ruchem, który będą podziwiali wszyscy militarzyści. Następne depesze z Afryki już oznajmiły pochód Robertsa na Kimberley, poprzedzony ogromnym rekonesansem, wykonanym przez liczną jazdę jenerała Macdonalda. Dla zamaskowania tego pochodu, pułki Robertsa przedniej swej straży pod dowództwem jen. Kelly rozpoczęły z Boerami szereg walk na południowej granicy Oranii, między Colesbergiem a Rensburgiem. Co się działo od dni kilku i prowadzone są tak zręcznie, że Boerowie — o ile o tem można sądzić z depesz — dali się złudzić mniemaniem, że mają przed sobą główne siły nieprzyjacielskie, tymczasem one za plecami przedniej straży przesuwały się na zachód i wreszcie się wynurzyły nad rzeką Medder, nieopodal Kimberleyu. Wtedy dopiero Boerzy zrozumieli manewr Robertsa i jęli gwałtownie ostrzeliwać Kimberley, aby go zdobyć przed nadejściem odsieczy. Niezawodnie nie chodziło im o honor zdobycia miasta, w którym zamknął się Cecyl Rhodes, lecz o zatrzymanie w swych rękach ważnego punktu strategicznego, albowiem stąd biegnie brzegiem rzeki Modder krótka kolej do stolicy orańskiej Bloemfonteinu. Jeżeli tedy Roberts zdobędzie Kimberley, Boerzy walczący z jen. Kelly na południowej granicy Oranii, będą zmuszeni odcząć pospieszny odwrót w głąb kraju, mając na karku następującego nieprzyjaciela.

W obec ogromnego znaczenia ataku Robertsa maleją wszelkie ruchy jen. Jouberta, który w Natalu zabiega drogę Bullerowi.

Dwa czy trzy żelazka w ogniu?

Piszą nam z Wiednia, 13 lutego:

Czasem, choć rzadko w *Narodnich Listach* odzywa się struna sentymentalna. W tym nastroju [illegible] organ młodoczeski [illegible] „o dwóch żelazkach przy ogniu“: z jednej strony solidarność słowiańska, z drugiej układy z Niemcami. Z tego powodu *Narodni Listy* we wczorajszym, poniedziałkowym numerze, oświadczają: „Otwarcie mówiąc, żaden zarzut nie zranił nas tak boleśnie, jak ten: taka ma być nagroda za naszą wierność dla Słowiaństwa? Gdyby Słowiaństwo takie uczucia żywiło dla nas, jakie my żywimy dla niego, nie potrzebowalibyśmy układać się z Niemcami. [illegible] punkt [illegible] bronić [illegible] narodowego, [illegible] Jakkolwiek nigdy (?) Polakom [illegible] walce z centralizmem i germanizacyą austryacką w najkrytyczniejszej chwili opuścili (!), przyjąwszy [illegible], jednak [illegible] sposoby [illegible] gdybyśmy się porozumieli z Niemcami, przyjazny stosunek do Polaków, przynajmniej z naszej winy, nie będzie naruszony?“

Kłamstwo, choć najczęściej powtórzone, nie stanie się nigdy prawdą. Takiem starem, często powtarzanem kłamstwem jest, że Polacy „w najkrytyczniejszej chwili opuścili Czechów“. Odnosi się to do roku 1867-go. Wtedy Czesi uparli się przy nieobesłaniu Rady państwa zwyczajnej, domagając się koniecznie zwołania Rady państwa „nadzwyczajnej“, czemu znowu sprzeciwiał się stanowczo gabinet hr. Beusta w porozumieniu z całym, bardzo wtedy jeszcze potężnym, parlamentarnym obozem niemieckim. Wobec tej bizantyjskiej kazuistyki, która najdonioślejsze sprawy państwowe opierała na takiem czy owakiem słówku, nasi przywódzcy, a mianowicie Ziemiałkowski, na konferencyi poufnej naczelników obozu federalistycznego, która się odbyła tutaj w lutym r. 1867, oświadczyli, że Sejm galicyjski niezawodnie obeszle Radę państwa, równocześnie zaś zachęcali Czechów, aby do niej wstąpili, gdyż wtedy razem zdołamy nowej konstytucyi nadać charakter autonomiczny. Rzeczywiście Sejm galicyjski pod wpływem namiestnika hr. Gołuchowskiego, marszałka krajowego ks. Leona Sapiehy, Ziemiałkowskiego, Zyblikiewicza itd. 2 marca 1867 uchwalił wybrać delegacyę do Rady państwa zwyczajnej. To samo uczyniły inne Sejmy o większości autonomicznej, tylko Czesi uparli się najprzód przy Radzie państwa „nadzwyczajnej“, potem po rozwiązaniu Sejmu, przy abstynencyi, która trwała aż do r. 1879. Na zapytanie: kto kogo wtenczas w „krytycznej chwili“ opuścił? — odpowiedź więc brzmi naprawdę tak: Czesi opuścili Polaków, nam wyłącznie pozostawili ciężkie zadanie bronić przy rewizyi konstytucyi zasad autonomicznych, z czego Koło polskie wywiązało się najchlubniej, bo artykuł 19-ty o równouprawnieniu narodowości i wszystkie inne paragrafy autonomiczne, któremi konstytucya grudniowa r. 1867 różni się od schmerlingowskiej konstytucyi lutowej r. 1861, jedynie staraniem Koła polskiego przyszły do skutku. Robiąc wówczas to, czego wymagało położenie kraju naszego, Koło polskie zarazem wyświadczyło największą przysługę zasadom autonomicznym. Natomiast wszyscy trzej prezesowie gabinetu, których naród polski dostarczył Austryi, hr. Agenor Gołuchowski (ojciec), hr. Alfred Potocki i hr. Kazimierz Badeni jedynie z idealnej przyjaźni dla Czechów narazili się na zaciętą walkę z Niemcami i szybko upadli. Przeciwnie hr. Agenor Gołuchowski (syn), który nie posuwa się tak daleko w słabości do Czechów, lecz ma na oku wyłącznie ogólne dobro państwa i uwzględnia także inne, choć niesłowiańskie czynniki narodowe, ma wszelkie szanse utrzymania się bardzo długo na pierwszem, politycznem stanowisku w monarchii. Ofiarność naszą dla Czechów od r. 1860 zadokumentowaliśmy tak często i tak dobitnie, że czas pomyśleć o sobie.

Zresztą, powtarzamy, nie robimy z tego młodoczechom żadnego zarzutu, że trzymają dwa żelazka w ogniu. Nie wolno stawiać losu narodu na — jedną kartę. Układów z Niemcami nie tylko nie ganimy, lecz przeciwnie życzymy im szczerze najświetniejszego powodzenia, tylko prosimy nie obwoływać zdrajcami „słowiaństwa“ tych z pomiędzy nas, którzy nie sądzą, aby Polacy byli moralnie zobowiązani do gwałtownej walki z Niemcami austryackimi i aby nam nie było wolno układać się z nimi. Mniej jeszcze nam, niż Czechom, wolno stawiać wszystkiego na — jedną kartę! Rzucając wzrokiem na mapę, widzimy, że od Dniepru do Kalisza jest mniej więcej pięć razy tak daleko, jak od Kalisza do zachodniej granicy księstwa Poznańskiego, z czego wynika, że rosyjski prąd na zachód kosztem Polski okazał się 5 razy intensywniejszym, niż niemiecki prąd na wschód. Nieco inaczej przedstawiała się rzecz, dopóki niemiecki „prąd na wschód“, przynajmniej w teoryi, docierał aż do Podwołoczysk. Ale o germanizacyi w Galicyi dziś nie ma mowy. Możemy więc tylko porównać zdobycze rosyjskie a pruskie, takie zaś porównanie wykazuje, że musimy walczyć o podwójnym froncie, nie jak Czesi, o jednym tylko. To też niepodobna od nas wymagać, abyśmy wszelkie siły skierowali tylko w jedną stronę!

Zdaje się zresztą, że organowi młodoczeskiemu nie wystarczają dwa wymienione żelazka, tj. sojusz prawicy i kompromis z lewicą niemiecką, lecz jeszcze trzyma przy ogniu trzecie żelazko „halickich Rusów“. Jeżeli nie, to rzeczą najprostszą oświadczyć, że znana deklaracya p. Engla w konferencyi ugodowej odnosi się tylko do tej lub owej prowincyi, ale nie do Galicyi. Tymczasem *Narodni Listy* w niedzielnym numerze, napomykając o rzekomem zaniepokojeniu Polaków, zauważają dwuznacznie: „Czeskim mężom zaufania chodzi przedewszystkiem o Szląsk i południowo słowiańskie prowincye. Jeżeli Polacy swój spór z halickimi Rusami (tak) wyrównają w swym sejmie, będzie nam to miłem. Nie powinni jednak tego sporu uważać za rozwiązany tem, co się dotąd stało w sejmie lwowskim. Spór trwa i niepodobna przed nim zamykać oczu“.

Słowem, organ młodoczeski rości sobie prawo do roli rozjemcy w sporze polsko-rusińskim w Galicyi i podobnemi frazesami różnym Taniaczkiewiczom dostarcza otuchy do występowania z coraz to przesadniejszemi wymaganiami. Na jakiej podstawie *Narodni Listy* przywłaszczają sobie rolę rozjemcy? Na podstawie słowiaństwa? Ale wtedy, zanim będą dowodziły, że „haliccy Rusowie“ nie otrzymali należnych im praw, wypadałoby czasem przypomnieć innym „Rusom“ konieczność złagodzenia „sporu“ polsko-ruskiego. Rzecz bardzo prosta. *Narodni Listy* mogłyby radzić Rusom... petersburskim, aby Polakom, poddanym rosyjskim, przyznali tyle praw, ile „haliccy Rusowie“ posiadają i to jedynie dzięki staraniom Polaków w Galicyi. Możemy organ młodoczeski zapewnić, że Polacy w Królestwie przyjęliby to z wielką radością, gdyby dostąpili tych wszystkich praw, których używają Rusini w Galicyi. Mówimy to tylko exempli causa. Naprawdę bowiem interwencya *Narodnich Listów* na naszą korzyść na nicby się nie przydała. W Petersburgu i Moskwie przyjmują łaskawie młodoczeskie hołdy, jak ostatni list gratulacyjny dra Podlipnego, ale rad i przedstawień nie przyjmują z Pragi. Któremuś ze współpracowników *Narodnich Listów* wydarzyło się, że gdy z Odessy chciał wysłać depeszę do Pragi (czeskiej), urzędnik biura telegraficznego dowodził mu, że jest tylko jedna Praga, nad Wisłą, przedmieście Warszawy (doskonale znane Rosyanom od przeszło 100 lat). Tak też w Petersburgu znają tylko Czechów, umizgających się, ale wyparliby się Czechów, przychodzących z radami. My przeto nie żądamy żadnej czeskiej interwencyi na naszą korzyść, prosimy tylko nie bałamucić pustemi frazesami naszych „halickich Rusów“, którym w każdym razie wiedzie się daleko lepiej, niż ich współrodakom pod panowaniem rosyjskiem!

Aby zaś powrócić do kwestyi dziennej, przypomnieć warto, że program niemieckiej lewicy, ogłoszony na Zielone Świątki r. z., wyraźnie zatwierdza rozporządzenia językowe dla Galicyi, które przywróciły polski język władz (r. 1867 i 1869), tudzież wstrzymuje się od wszelkich pretensyi względem Galicyi. Panowie młodoczesi postąpią sobie nietylko uczciwie, ale także mądrze, naśladując ten przykład niemiecki i nie mięszając się do spraw cudzych — choć słowiańskich.

Dzierżawa teatru.

Przerwana w poniedziałek debata w Radzie miejskiej nad przyszłością teatru polskiego we Lwowie powinna dziś zakończyć się, dłuższe bowiem odwlekanie decyzyi mogłoby, jak to już kilkakrotnie podnieśliśmy, wywołać fatalne następstwa, boć przecie i personal sceny naszej, tak świetnie dziś dobrany, musi wobec tego, że przed Wielkanocą kończą się wszystkie kontrakty, zawczasu pomyśleć o swej

---

2)

Tydzień nad Bosforem.

(Ciąg dalszy).

Nie zapominajmy, że na okół starego Stambułu potworzyły się całe miasta, mające swoją odrębną cechę, typy, religię i stroje, szereg pałaców, meczetów, cmentarzy, których całość dopiero tworzy Konstantynopol. Najpierw Galata i Pera chrześcijańskie i Stambuł mahometański, poczem wzdłuż Bosforu i Złotego Rogu mnóstwo przedmieść. Ogromny most na Bosforze łączy stary Stambuł z Galatą i Perą; ruch na nim nadzwyczajny, a różnorodność typów i strojów niebywała. Lecz niepodobna w ciągu dni kilku poznać miasta, a nawet przebiegnąć go całego, choć miałoby się ochotę wałęsać godzinami, tak oryginalny, iście wschodni jego wygląd. Niektóre uliczki głuche, inne pełne gwaru i życia, wązkie, źle brukowane; trzeba zręcznie wymijać gromady psów, zalegające chodniki. — Domy tureckie jak z kart. szczelnie pozasłaniane, tajemnicze, z wystającymi, krytymi balkonami, a w przeciwieństwie do tych domów, jakby wymarłych, życie uliczne w całej pełni. Wszystko się tam dzieje na ulicy, a wśród największego gwaru, ci ludzie Wschodu nie tracą swego spokoju, w wygodnej pozycyi oddają się błogim rozmyślaniom, paląc narghile.

Wyobrażam sobie, że tam warunki życia o wiele łatwiejsze, owoców, jarzyn przeobfitość, słowem odnosi się tu wrażenie ciągłego świętowania a niebo i słońce przepyszne podnosi jeszcze barwny koloryt wszystkiego, na co patrzymy. Turcy w zawojach i fezach, Turczynki w swych jedwabnych feredżijach, zgrabne i zwinne, Arabowie w białych burnusach, księża wschodnich obrządków i mołłowie, postacie o biblijnym wyglądzie, Persowie w wysokich czapkach, Albańczycy w malowniczych strojach białych, suto wyszywanych, murzynki jaskrawo ubrane, Japończycy, słowem wszelkie odcienia skóry ludzkiej od białości cór Kaukazu, aż do hebanu afrykańskiego. Oko biegłe rozróżni poszczególne typy i stroje w tej istnej mozajce ludzkiej, my szukamy odpoczynku w krajobrazie, lecz i ten olśniewa po prostu.

Nigdy nie zapomnę przejażdżki kaikiem. W chwili, gdy się ma księżyc ukazać, wypływamy na wody Bosforu. Wzdłuż brzegów bielą się marmury pałaców sułtańskich: Dolma-Bagdże i Cziraganu. Po drugiej stronie ziemia azyatycka, Skutari, w swej żałobnej koronie cyprysów, dalej morze Marmora, Bosfor migoce tysiącem świateł, a nam się dusza rozkołysała jak ta łódź, na której płyniemy, i z tej ciszy z tego upojenia, nie chce wracać na ziemię...

Nazajutrz zwiedzanie meczetów. Najpierw cześć św. Zofii. Wspaniała ta świątynia na zewnątrz nie wywiera wrażenia; ugina się pod ciężarem kopuł i rozmaitemi dobudowaniami, które pierwotną piękność i czystość linii zupełnie zniweczyły. Wewnątrz restaurują obecnie, więc nie podobna objąć z górnych galeryi całości. Stamtąd dopiero ocenić można cały ogrom świątyni, piękność kolumn, tysiące architektonicznych szczegółów, które z dołu wśród rusztowań gubią się. Niemniej dziwne ogarnia wzruszenie, gdy się wspomni, czem ta świątynia była, czem jest obecnie, a czem być mogła. Gdyby marmur i kamień przemówić mogły, jakież straszne odtworzyłyby dzieje. Dziś tu cisza, tylko „niewidzialny pająk smutku“ rozsnuwa swe sieci, a w duszy wierzącej budzi się otucha lepszej przyszłości, gdy widzi tu i ówdzie z poza tynków przezierające godło świata chrześcijańskiego, krzyż.

Zadumani wchodzimy do drugiego meczetu Sulejmani, położonego w samem sercu starego Stambułu. Wspaniały to meczet. Na okół biegną ogromne krużganki. Wewnątrz widzimy grupy młodych uczących się Turków; w wygodnych pozycyach słuchają nauki Koranu. Oryginalny to widok. W meczetach nie doświadcza się tych uczuć rzewnych, co w świątyniach katolickich, — dusza nie dostaje tam skrzydeł, by lecieć do Boga, są to miejsca ciszy, spokoju, rezygnacyi. Wokoło dużo przestrzeni, a obok prześliczne studnie, istne cacka architektury.

Wycieczka do wysp Książęcych, to może najmilszy epizod tygodnia, spędzonego nad Bosforem. Morze Marmora w lazurach, a my w słońcu, błękicie płyniemy, mijając wdzięczne wysepki, — a najpiękniejsza ta, do której zdążamy. Tam wypoczynek, posiłek, kąpiel w morzu pyszna i wyprawa na osiołkach do pobliskiego klasztoru św. Jerzego. Ta wyspa, rendez-vous możnych, zwłaszcza Greków, to mały raj ziemski, prześliczne wille, ogrody całe w kwieciu, tarasy, wiszące nad morzem, świat strojny, uśmiechnięty, — wszystko się przesuwa przed oczyma, jak sen rozkoszny.

Niestety rzucamy tę cudną wyspę, a wracając, podziwiamy zachód słońca na morzu. — Patrząc, jak ono w jednej chwili zapada w toń bezdenną, przypominają się baśnie Heinowskie o zaślubinach słońca z bogiem mórz: „Die schöne Sonne ist ruhig hinab gestiegen ins Meer.“ Na górach rodopskich zarysowuje się brzeżek ognisty, i długo jeszcze jakby łuna krwawa prześwieca na niebie, przed nami Skutari płonie całe w odblaskach złotych; na morzu czyni się cicho, szaro, — rozpięte żagle łódek, jak duże motyle w locie szybują; księżyc się okazuje i oświeca ten boski poemat, bo jest nim to wszystko, na co patrzymy. A jednak smutnieje dusza ludzka, zabłąkana na te morza dalekie i woła do Twórcy tych cudów: „Choć Ty mi tak niebo złocisz i morze, Smutno mi Boże!“

Na statku roi się od rozlicznych typów, często wspaniałych, jak z innego świata przeniesionych w dzisiejszy. — Zwłaszcza utkwił mi w pamięci młodziutki zakonnik, długowłosy, o łagodnych rysach, niemal kobiecej delikatności, — może przyszły misyonarz, w oczach ma iskrę zapału, lecz i poświęcenia bez granic, które cechuje tych wysłanników Bożych na ziemi.

Jedziemy do Skutari patrzeć na derwiszów wyjących. Tyle się czytało i słyszało o nich, niemniej widok ludzi niemal oszalałych w ekstazie religijnej czyni ogromne wrażenie i tu się widzi w czem potęga Islamu. Nietylko derwisze lecz i widzowie Turcy biorą udział w tem nabożeństwie. Wchodzi młody Turek w stroju europejskim, siada obok derwiszów na rozciągnionej na ziemi skórze baraniej i sławiąc Allacha, kiwa się wraz z innymi. Wśród derwiszów góruje postać ich mołły o czystych, szlachetnych rysach, które ascetyzm i surowość życia uczyniły niemal nieziemskimi; w czarnym zawoju i czarnej szacie tłómaczy naukę koranu pochylonym derwiszom. Nie rozumiejąc, czujemy w mowie jego wielki zapał i przekonanie. Skończył. Z grona derwiszów wychodzi na środek rosła, barczysta postać i rozpoczyna śpiew potężny, przejmujący. Do wtóru mu jakby akompaniując, odpowiadają głosy inne wraz z miarowem pochyleniem ciała. Stopniowo śpiewy przechodzą w jęki żałośne, niemal łkania, widzi się na derwiszach różne stopnie ekstazy, starzec obok mnie stojący, płacze rzewnie, murzyn młody, dziki objawia fanatyzm, jęki przechodzą w charczenie, wycie nieludzkie; postacie wyginają się w niemożliwych kontorsyach, pot strugami spływa im z czoła, zrzucają długie wierzchnie szaty i turbany, a pieśń solowa nie ustaje ani chwilę, lecz brzmi coraz potężniej, dzika i rozpaczliwa, na niektórych obliczach maluje się rozkosz najwyższa istoty ludzkiej, tonącej w Bóstwie. Na zakończenie mołła, którego wszyscy całują w rękę, przechodzi po leżących derwiszach; przynoszą mu małe dzieci, które błogosławi, obrzęd się kończy, a my wychodzimy z jakiemś uczuciem przykrem lecz i z przekonaniem, że w ich fanatyzmie tkwi jednak siła ogromna, a podbudzona wywołuje takie przerażające krwawe sceny, jakich widownią Konstantynopol w czasie rzezi Armeńczyków. Niedawne to dzieje niestety, czy jednak na nich skończy się odwieczna walka, Bóg to raczy wiedzieć. Nasz każe przebaczać i zapominać uraz, ich Allach mścić się i tępić niewiernych.

(Dokończenie nastąpi).

przyszłości. Do poniedziałku istniały tylko dwie propozycye, a mianowicie propozycya d-ra Ciesielskiego, zatwierdzona przez komisyę teatralną, ażeby zawarować prawo własności gminy do gmachu teatralnego malutkim czynszem dzierżawnym 3.000 zlr. rocznie, zresztą zaś wejść z przedsiębiorcą prywatnym w spółkę na 50% czystego zysku — tudzież wniosek d-ra Dulęby, który uzyskał w sekcyi finansowej większość dwóch trzecich głosów, ażeby nie wchodząc w żadną spółkę, wydzierżawić gmach teatralny prywatnemu przedsiębiorcy za czynsz 25.000 zlr. rocznie i nie krępować go żadnymi zresztą warunkami finansowymi, ale zastrzedz gminie rozległą ingerencyę na artystyczną stronę teatru.

Na poniedziałkowem posiedzeniu wyłonił się jeszcze trzeci wniosek, wiceprezydenta Michalskiego, zmierzający do tego, ażeby gmina oprócz pewnego, z góry oznaczyć się mającego czynszu dzierżawnego, zastrzegła sobie także i pewien procent z czystego zysku z przedsiębiorstwa, nie partycypując jednak w ewentualnym deficycie. W tym celu zastrzedz należy gminie oprócz ingerencyi artystycznej także prawo nieograniczonej kontroli i wglądania we wszystkie księgi, rachunki i kasowość przedsiębiorstwa teatralnego.

Ta propozycya wiceprezydenta Michalskiego jest naszem zdaniem tak samo niewłaściwa jak propozycya prof. Ciesielskiego, gdyż tak samo jest ona jest interesem spółkowym i to interesem tego rodzaju, że wątpimy, aby wdawał się weń ktokolwiek z reflektantów poważnych, mających kwalifikacye na dyrektora teatru, — a przecież nie przypuszczamy, że rada miejska gotowa jest powierzyć teatr byle komu. — W radzie miejskiej zasiada przecież wielu przemysłowców i przedsiębiorców, a z pewnością nie ma między nimi ani jednego, któryby wszedł w spółkę tego rodzaju, iżby wspólnik, nie biorąc żadnego udziału w stratach, miał jednak prawo wertowania jego ksiąg i rachunków, badania stanu kasy i wykonywania nad nim nieograniczonej kontroli.

Gdyby nawet, w co nie wierzymy, spółka tego rodzaju przyszła do skutku, to rozleciałaby się już po kilku miesiącach i nastałaby zupełna dezorganizacya teatru. Jeżeli wniosek p. Michalskiego zmierza do zapewnienia gminie nieco większej renty od sum włożonych w gmach teatralny, niż ustanawia ją wniosek dra Dulęby, to dlaczegoż nie wybrać w tym celu formy bardziej prostej, to jest podwyższyć czynsz żądany o 5 lub 10 tysięcy rocznie? Może się znajdzie ktoś, kto da nie 25, ale 35 tysięcy rocznie, dlaczego jednak tak komplikować sprawę i już z góry stwarzać zarodek niedomagania przedsiębiorstwa teatralnego?

Wobec tego oświadczamy raz jeszcze, że jedynie taka forma wydzierżawienia teatru, jaką zawiera wniosek dra Dulęby, jest właściwą i korzystną zarówno dla interesów gminy, jak i dla sceny narodowej, a mianowicie, by zastrzedz gminie jak najdalej sięgającą ingerencyę artystyczną i wydzierżawić teatr za oznaczony z góry czynsz, co do którego wysokości Rada miejska wypowiedzieć ma ostatnie słowo.

Echa z wód.

Montreux w lutym.

W pierwszych dniach listopada mieliśmy tu cudną, słoneczną, ciepłą pogodę, która przez 3 tygodnie pozwalała rozkoszować się czystem powietrzem, przebywać za domem dni całe i rozglądać się po okolicy, dostarczającej miłych wrażeń. W grudniu wszystko zmieniło się na gorsze: ze słońcem przestaliśmy się prawie widywać, natomiast mieliśmy ciągłe mgły, częste deszcze, a nawet śnieg i mrozy, które dochodziły do 6 stopni.

Gdy się uciekło od własnej zimy, taka cudza wydaje się zawsze gorszą. Poza krajem chcielibyśmy mieć ciągłe słońce i niebo lazurowe, więc rozczarowani narzekamy, zrzędzimy, nie zdając sobie sprawy z tego, że takie stałe ciepło nie zawsze zdrowem bywa. Powiadają, że tegoroczna zima tutejsza jest wyjątkowo ostrą i długą, w każdym razie jednak o wiele lżejszą od zimy polskiej. Dwa stopnie mrozu zdarzyły się kilka razy zaledwie i to tylko w godzinach rannych. Futer nie używamy tu wcale, stali mieszkańcy (dzielnie zahartowani) chodzą po większej części bez cieplejszej odzieży, a teraz pracują w ogrodach bez surdutów. Największą zaletę klimatu tutejszego stanowi zupełny prawie brak wiatru, północny nie wieje tu wcale i jezioro koło Montreux bywa najspokojniejsze.

Średnia temperatura tak się przedstawia w czterech porach roku:

	godziny obserwacyi:		
	7 rano	1 po poł.	9 wiecz.
Wiosna	8° 1	13° 6	9° 7
Lato	16° 5	22° 3	17° 6
Jesień	8° 5	14° 1	9° 9
Zima	1° 0	9° 4	2° 2

Rok bieżący jest wyjątkowy.

Co do warunków życia, to są one tu bardzo wykwintne dla mogących więcej płacić a bardzo dobre dla średnio zamożnych. Za całodzienne utrzymanie: mieszkanie i obfite zdrowe pożywienie płaci się 10 franków od osoby, w wielkich pierwszorzędnych hotelach do 16 franków na dobę. Światło elektryczne rachują osobno po 1 fr. 50 cen. na tydzień od pokoju; opał, wino płacimy osobno.

Kurtaksę płaci obowiązkowo każdy cudzoziemiec w sumie 4 f. 50 cen. miesięcznie.

Przy pięknej pogodzie, czas mogłyby wypełnić przechadzki. Jest ich tu wiele. Bliższe odbywamy pieszo, dalsze koleją lub statkiem.

Pod Montreux jest również kilka stacyj, bardzo wysoko położonych: Mont Fleuri, z sanatoryum dla nerwowo chorych, tuż obok Glion, 600 metrów nad Montreux, 900 nad poziomem morza; Caux 1200 m., les Avents, stacya dla piersiowych; skały de Paye, skąd roztacza się pyszny widok. Dojeżdżamy wszędzie koleją wąskotorową, prostopadle prawie pnącą się na te szczyty. Tam już wszędzie życie droższe, bo wszystko sprowadzać trzeba. Hotele wykwintne, publiczność przeważnie angielska, jak i w Montreux zresztą.

Co i o czem piszą.

W łódzkiem *Czasopiśmie lekarskiem* znajdujemy zasługującą na uwagę notatkę o wizytach w szpitalach. Autor jej rozwija myśl dra Troczewskiego, dążącą do zajęcia ogółu sprawami szpitali, a głównie losem tych, którzy się w nich leczą:

W Anglii — czytamy tam — istnieje powszechny zwyczaj, że każda dama z „towarzystwa" wybiera sobie jakiś szpital lub jeden oddział szpitalny, którego chorych odwiedza, pomagając im radą i czynem. Niewątpliwie środek lekarski, jakaś naparstnica lub chinina, wpływa ściśle w pożądanym kierunku na serce i ciepłotę. Ale chory człowiek nietylko jest „przypadkiem" choroby sercowej lub kopertą dla pasożytów zimnicy — jest przedewszystkiem człowiekiem myślącym i czującym, i wprost nielitościwem jest, gdy z powodu potrzeby naprawy jednego narządu zapomina się o jego potrzebach moralnych. Trudno wymagać, aby lekarz każdemu choremu poświęcał tyle czasu, ile potrzeba na wtajemniczenie się w jego kłopoty, nadzieje i troski. A jednak ten chory, ten nieszczęśliwy, wymaga stałe objawów współczucia, słów pociechy, wymaga serca i ucha, które nietylko z punktu dyagnozy i terapii z nim się liczą. Taką pomoc chorym szpitalnym dać mogą stali opiekunowie i stałe opiekunki szpitala. Ci, opierając się na informacyi lekarza, temu i owemu w szpitalu i po wyjściu ze szpitala czynnie pomoc dać mogą, a jeśli nawet jej nie dadzą, to przynajmniej zmiękczą przez jawne współczucie twardy los biedaka. Wejrzenie w życie szpitali przyczyni się też niewątpliwie do zainteresowania społeczeństwa losem tych instytucyi, traktowanych u nas po macoszemu. To też każdy lekarz szpitala prowincyonalnego powinien poszukać wśród inteligencyi takich moralnych protektorów dla swoich chorych. Czyniąc to, nie wyjdzie wcale ze swej roli, która mu nakazuje wszelkimi zasobami zmniejszać cierpienia swoich chorych.

Myśl ta zasługuje na gorące poparcie a projekt w równej mierze dotyczyć może miast wielkich jak i prowincyi. U nas zajęto się od pewnego czasu nieco żywiej losem ubogich chorych w szpitalach, ale dostarczenie pism i książek nie wystarcza. Forma, wskazana powyżej, odwiedzania chorych lub chociby rekonwalescentów, obok wielkiej idei miłości chrześcijańskiej mieści w sobie jeszcze i motyw głęboko społeczny. Zrozumiano to właśnie w Anglii, że wszelkie niesnaski klasowe zacierają się najlepiej pod skrzydłami anioła miłosierdzia, i że poczucie łączności i braterstwa najżywiej krzewi się pod cieniem tych skrzydeł i dlatego „ladies" angielskie śmiało przestępują progi szpitala lub zapuszczają się w zaułki miejskie do ciemnych izb nędzarzy.

Mały Feljeton.

W sprawie rywalizacyi panien i mężatek na balach.

Słyszę o strejku panien — wypadek to rzadki —
Że na balach, wieczorkach, wodzą rej mężatki,
Z obawy, by dla wolnych potomków Adama
Nie stała się fatalna tak surowa fama,
I by w tak słodkim czasie, teraz w karnawale,
Nie zabrakło nam panien na rauty i bale,
Radzę, żeby panienki na jakimś kongresie
W kawalerskiego stanu wspólnym interesie
Uchwaliły dla siebie osobne oznaki
(Czy przepaski na czole, czy dziwne fryzury,
Czy napis na wachlarzu: „Puszczaj się w [konkury").
A wtedy ułatwione będą koperczaki
Dla tych, którzy w Hymenie szukają osłody.
Gdyż wobec panującej dziś powszechnie mody
Znikły wszelkie różnice niewieściego stanu
Dawniej nasze prababki i polskie matrony
Wieńczyły swoje głowy rodzajem osłony
(Znanej i dziś u ludu w postaci turbanu),
Tak, że zdala poznałeś, gdzie grono mężatek,
Dzisiaj każda niewiasta ma na głowie kwiatek.
Nie dziw więc, że gdzie takie jedno kwiatów [morze,
I córeczka i mama zarówno są hoże.
Pierwsza się podobała, lecz druga tak nęci,
Że mężczyzna zabłądzi mimo szczerej chęci,
Do skocznego mazura mamę porwie sobie,
A córka łzy ma w oczach i pietruszkę skrobie.
Czyja zatem tu wina, sądźcie młode panie!
Lecz co będzie, gdy która mężulka dostanie?
Widzę już, jak niejedno lice się rumieni
Na dowód, że się wtedy i taktyka zmieni.
Otóż wniosek stanowczy z tej całej zagadki,
Że tańczyć lubią wszystkie: panny i mężatki.

C. Szcz...

KRONIKA.

Lwów 15 lutego.

Minister br. Gołuchowski odjeżdża dziś wieczorem z powrotem do Wiednia.

Wiadomości urzędowe. Ministerya spraw wewnętrznych i rolnictwa zezwoliły na uchwaloną zmianę statutów galic. karpackiego akcyjnego Towarzystwa naftowego, znanego dawniej pod firmą Bergheim i Mac Garvey w Maryampolu. — Minister sprawiedliwości zamianował adjunktami sądowymi auskultantów: Józefa Kałużniackiego dla Peczeniżyna, Rudolfa Vogla dla Śniatyna, Gustawa Łączyńskiego dla Oleska, Władysława Schmidta dla Podbuża, Szymona Worocha dla Kossowa, Emila Wonscha dla Monasterzysk, Stanisława Śliwieńskiego dla Birczy, Wincentego Jaworka dla Tłustego i Mieczysława Majewskiego dla Zbaraża.

Rocznice Leona XIII. W d. 20 lutego przypada dwudziesta druga rocznica wstąpienia Leona XIII na Stolicę Apostolską, a w d. 3 marca rocznica Jego koronacyi. W dniu tym Leon XIII rozpocznie dwudziesty trzeci rok pontyfikatu i 91 rok życia. Obie te rocznice będą, jak zwykle, obchodzone uroczystościami w kaplicy Sykstyńskiej, oraz urządzonym będzie obiad dla ubogich miasta Rzymu. Pomiędzy innemi także zostanie ofiarowanem Jego Świątobliwości album pamiątkowe z podpisami mnóstwa osób, które przekroczyły rok 90 życia, przeważnie z Francyi.

Konkursa rozpisują: Lwowska Izba notaryalna posadę notaryusza w Glinianach z terminem do 3 marca. — Magistrat m. Stryja na posadę inspektora policyi miejskiej z poborami 2010 K.; termin do 31 marca. — Wydział powiatowy w Rohatynie na posadę lustratora z poborami 2110 K; termin do 15 marca.

Śluby. W sobotę, d. 17 bm. odbędą się we Lwowie śluby: w kościele OO. Jezuitów o godz. 7 wieczorem ślub panny Klary Balkówny, córki państwa Władysławów Balków, z panem drem Tadeuszem Łodzia Moszyńskim, koncepistą namiestnictwa, — a w kościele OO. Bernardynów o godz. 6 wieczorem ślub panny Maryi Grossówny z p. drem Michałem Wiktorem, zaś o godzinie w pół do 8-ej wieczorem w tym samym kościele ślub panny Maryi Kotwicz Zgórskiej z p. drem Zygmuntem Hofmoklem, adjunktem sądowym z Krakowa. — Dnia 24 bm. o godz. 7 wieczorem odbędzie się w lwowskim kościele OO. Bernardynów ślub panny Jadwigi Lewakowskiej, córki dra Maryana i Jadwigi z Czapelskich, z p. drem Janem Miczyńskim, wicesekretarzem ministeryalnym w Ministerstwie skarbu.

Honorowe obywatelstwo nadała drohobycka rada miejska JE. Apolinaremu Jaworskiemu, prezesowi Koła polskiego, za znakomite zasługi, położone około państwa, kraju i miasta Drohobycza.

II koncert Towarzystwa muzycznego odbędzie się w niedzielę 18-go o godz. pół do pierwszej w południe. Program obejmuje: Schumanna uwerturę do Genowefy, Beethovena symfonię IV b-dur, Fibicha „Wieczorem" i Żeleńskiego polonez.

Centy. Minister skarbu zarządził, że chociaż obowiązek wymiany centów i półcentów wygasł z dniem 31 grudnia 1899, można pieniądze te aż do 30 czerwca b. r. w centralnej kasie we Wiedniu i w głównych kasach krajowych zamieniać na nową monetę.

Szlachetny czyn. Dyrektor teatru lwowskiego p. Heller rozesłał wczoraj do wszystkich artystów i artystek lwowskiej sceny okólnik, w którym oświadcza, że bez względu na to, jak się ukształtuje sprawa kierownictwa w nowym teatrze, on zobowiązuje się zatrzymać cały personal do 1 września, mimo, że kontraktowo związany jest z nim tylko do 1 kwietnia. Personal artystyczny naszej sceny jest pełen wdzięczności za to dla p. Hellera, gdyż dotąd uważał za rzecz pewną, iż z dniem 1 kwietnia znajdzie się na bruku. Czyn ten dyrektora naszego teatru tem jest piękniejszy, gdy sobie przypomniemy, że niedawno w innem mieście w analogicznym wypadku, cały personal teatralny przez dwa całe miesiące pozostawał bez chleba i pewności jutra.

Wybory. Stronnictwo katolicko-narodowe uchwaliło popierać kandydaturę p. Stanisława Matwija, profesora gimnazyum w Bochni, do mandatu posła sejmowego z kuryi wiejskiej powiatu bocheńskiego, w miejsce śp. dra Hoszarda. Wybór ten odbędzie się dnia 8 marca. O mandat ten ubiega się także ludowiec Bardl i ks. Stojałowski. Zamierzał się starać o niego także adwokat bocheński, dr. Antoni Serafiński, lecz dowiedziawszy się, że złączone frakcye chrześcijańsko-narodowe zatwierdziły kandydaturę prof. Matwija, w interesie sprawy obywatelskiej zrzekł się swej kandydatury na rzecz prof. Matwija.

Henryk Sienkiewicz otrzymał odznakę honorową dla sztuki i nauki *„Ehrenzeichen für Kunst und Wissenschaft"*, najwyższe w Austryi odznaczenie, jakie otrzymać mogą uczeni, poeci i artyści Z Polaków otrzymali dotąd tę odznakę śp. Matejko i profesor dr. Antoni Małecki; Sienkiewicz jest więc trzecim wśród obdarzonych nią Polaków.

Sprawę dzierżawy gmachu Skarbkowskiego załatwiono przecież ku obopólnemu zadowoleniu. P. Lityński pozostaje nadal dzierżawcą, ale w kontrakcie poczyniono ważne zmiany. Czas trwania kontraktu skrócono z lat 50 na lat 40, czynsz dzierżawny został podwyższony, a nadto ma stopniowo wzrastać z upływem czasu. Dalej zobowiązuje się p. Lityński pod rozmaitymi rygorami do znacznych wkładów na konserwowanie gmachu, i tak w bieżącym i w następnym roku ma włożyć po 10.000 zlr., a w późniejszych latach również pawne bliżej określone w kontrakcie kwoty. Umowa właśnie obecnie jest na ukończeniu, niektóre punkta p. Lityński już podpisał. Kontrakt sporządził adwokat dr. August Łoziński.

Z karnawału. Bal prasy wypadł okazale. W salach kasynowych, przystrojonych nietylko ze smakiem wykwintnym, ale nawet z przepychem, zgromadziło się około ośmset osób. Poloneza prowadził prezes Towarzystwa dziennikarzy polskich p. Liberat Zajączkowski z panią marszałkową Badeniową, poczem postępowały pary: marszałek Badeni z panią prezydentową Małachowską, prezydent Małachowski z panią Kazimierzową Badeniową, wiceprezydent Tow. dziennikarzy Skrzyński z Aleksandrą hr. Pinińską, rektor uniwersytetu dr. Abraham z panią inspektorową Tokarską itd. itd. Widok poloneza odfotografował błyskawicznie przy świetle magnezyowom p. Nikopoli. Kadryla tańczono w przeszło sto par. Barwnym i oryginalnym był kotylion, w którym rozegrała się improwizowana walka Boerów z Anglikami. Lwowscy „Boerzy" mieli na głowach czarne z szerokiemi krysami kapelusze i dzidy w ręku, a „Anglicy" byli w hełmach i dzierżyli sztandary. Boerowie natarli na Anglików, pobili ich, zabrali do niewoli i wśród blasku różnobarwnych lampionów, odbyli po sali pochód tryumfalny. Kotylion ten, pomysłu i układu znakomitego wodzireja p. Żeleńskiego, bardzo się podobał, a panie mają też na pamiątkę balu prasy piękne karneciki. Bal wśród ochoczych tanów trwał do świtu.

W Kole literacko-artystycznem trzeci wieczór z tańcami odbędzie się w sobotę dnia 17 b. m. Początek o godz. 9 wieczorem.

W Czytelni katolickiej wygłosił wczoraj p. Stanisław Zdziarski odczyt o chłopskim świecie w poezyi Teofila Lenartowicza. Młody prelegent licznymi cytatami z utworów Lirnika Mazowieckiego uplastycznił, jak to Lenartowicz na wskróś przejął się światem chłopskim, jego wierzeniami, pieśniami i przypowieściami, i na ich tle snuł swoje melodyjne, proste a jakby świeżością mazowieckich łanów tchnące opowieści. Wychowany w wieśniaczej mazowieckiej chacie, owiany mnóstwem silnych wrażeń, zebranych podczas umyślnych wycieczek nad Narwię, rozmiłował się w piosnce prostaczej, wysłuchanej przy kołowrotku czy u żniwiarzy w polu, podziwiając jej fantazyę i bogactwo wdzięku. To właśnie dało mu możność wyzyskiwania do swoich pieśni pierwiastków ludowych w sposób tak doskonały, że tylko z pieśni Lenartowicza wychyla się ta niezrównana plastyka postaci chłopskich tak męskich jak żeńskich, obca zupełnie np. Olizarowskiemu, Grozie i innym, którzy wprawdzie parafrazowali pieśni ludowe, ale brakło w tych parafrazach zrozumienia duszy chłopskiej. Lenartowicz miał jakiś wrodzony optymizm, który zasłaniał przed jego oczyma wszystkie strony ujemne życia wiejskiego. To też postacie chłopskie Lirnika Mazowieckiego są z nielicznymi wyjątkami zawsze wesołe, uśmiechnięte, pogodne, — ponurość to rzadki u nich gość. Ale owe zachwyty ustawiczne przyprawiły Lenartowicza o sentymentalną czułostkowość, a nadto o jednostajność, coraz więcej poczęły się w utworach jego pojawiać obrazy przekoloryzowane, niewierne, a nawet tytuły, w których przebija wymuszoność. Smutku Lenartowicz zwykle nie przedstawiał, gdyż śpiewał, że „smutek w wieśniacze nie wchodzi wrota", ale przecież gdy niekiedy odmalował żal i smutek, choć i tam była pogoda, pobożność i cnota, przecież obrazy były szczersze, bo poważniejsze. A mimo to, mimo iż musiał czuć ową jednostronność tych promiennych, uśmiechniętych zawsze scen i obrazów, chętniej takie, aniżeli pochmurne przedstawiał, a to dlatego, że pragnął, aby te momenty jasne były tarczą przeciw smutkowi i zwątpieniu.

Odczyt p. Zdziarskiego był zajmującym i przyjemnym, a podanyn w formie pełnej poezyi, więc słuchacze wysłuchali go z uwagą, poczem obdarzyli prelegenta na podziękę oklaskami.

Izba handlowa i przemysłowa we Lwowie wybrała na wczorajszem posiedzeniu swym prezesem p. Jakóba Piepes-Poratyńskiego jednogłośnie. Wiceprezesem na 24 głosujących wybrany został 21 głosami p. Karol Szajer, a przez aklamacyę prowizorycznym prezydentem ponownie p. Maks Epstein, zaś rewidentem kasy p. Władysław Gubrynowicz. — Delegatami do miejskiej komisyi dla oznaczenia cen materyałów budowlanych wybrani zostali ponownie pp. Ciuchciński, Długoszowski, Gołąb i Wczelak. Wybrano też członków do wszystkich komisyj. Następnie p. dr. Kolischer omawiał rozporządzenie ministeryalne, znoszące dotychczasowe taryfy dla drzewa, używanego w kopalniach, wywożonego masami z Galicyi do Niemiec, a ustanawiające dla niego taryfę taką samą jak dla najlepszego budulca, wskutek czego taryfa ta została podwyższoną mniej więcej o 50%. Rozporządzenie to, mające wejść w życie od 15 marca br., krzywdzi wysoce galicyjski przemysł drzewny, a wydane zostało wbrew opinii Koła polskiego i nawet bez zasięgnięcia opinii komisyi specyalnej, wybranej w tym celu przez państwową Radę kolejową. Mówca postawił przeto wniosek, by Izba telegraficznie wyraziła ministerstwu kolejowemu ubolewanie z powodu wydanego zarządzenia, tudzież prośbę, aby zarządzenie to bezwarunkowo cofnięto i dano wpierw do zaopiniowania interesowanym galicyjskich Izbom handlowym, Towarzystwom rolniczym i państwowej Radzie kolejowej. Po dyskusyi, w której zabierali głos pp.: Baczewski, Russman, Majer, Jonasz i Piepes-Poratyński, uchwalono postąpić w myśl wniosku dra Kolischera, oraz telegraficznie uprosić p. ministra dla Galicyi o interwencyę w tej sprawie.

Wybrano następnie pp. Piepes-Poratyńskiego, Kolischera, Romanowicza i Ciuchcińskiego na delegatów do ankiety w sprawie polepszenia stosunków kredytowych dla drobnego przemysłu rękodzielniczego. Ankietę tę zamierza zwołać minister handlu w pierwszej połowie bieżącego roku do Wiednia.

Stypendya po 120 K. nadano Antoniemu Hrycakowi i Ludwikowi Szaneckiemu, uczniom IV roku kursu ciesielskiego lwowskiej szkoły przemysłowej. Oświadczono się za urządzeniem stacyi telegraficznej w Jaryczowie, a przeciw urządzeniu takiej stacyi w Bachorzu. Dla sądu krajowego we Lwowie jako sędziów obywatelskich z grupy pomocników handlowych zaproponowano pp Maksymiliana Thoma, Maksa Weissmana, Jana Grollego, dra Stanisława Olszewskiego, Jerzego Kleina i Edwarda Fibicha. Do krajowej komisyi powszechnego podatku zarobkowego wybrano ponownie pp. Piepesa-Poratyńskiego i Gubrynowicza, a do rady przybocznej dla opodatkowania oleju mineralnego dr. Kolischera członkiem, a p. Józefa Schreyera zastępcą.

Załatwiono też szereg spraw pomniejszych, a debatę nad ustawodawczą ochroną przed nieuczciwą konkurencyą odroczono do posiedzenia następnego.

W sprawie obowiązkowej ustawy pensyjnej dla urzędników prywatnych udała się w dniu 11 t. m. do prezydenta ministrów oraz do ministra handlu i rolnictwa deputacya, z 21 reprezentantów wszelkich austryackich Towarzystw urzędników prywatnych, a to w tym celu, aby raz jeszcze osobiście i dobitnie poprzeć tę tak niezmiernie ważną, a dość długo wlokącą się sprawę.

Reprezentowane były: Galicya (przez prezesa tut. Towarzystwa Andrzeja hr. Potockiego i dyrektora Romualda Makarewicza), Szląsk, Czechy, Morawia, Solnogród, wyższa Austrya, Karyntya i Tyrol. Imieniem deputacyi przemówił Antoni Blechschmiedt, prezes grupy wiedeńskiej, przedstawiając nadzwyczajną ważność i błogosławione skutki takiej ustawy, długo i niecierpliwie oczekiwanej i prosząc usilnie, aby rząd zechciał koniecznie i to na najbliższych posiedzeniach wnieść w Radzie państwa gotowy już projekt tej ustawy.

Wszyscy ministrowie, zwłaszcza prezydent ministrów dr. E. Körber, wyrazili się o tej sprawie nadzwyczaj życzliwie, a prezydent ministrów przyrzekł, że szczerze zajmie się nią, gdyż jest ona doniosłego znaczenia i że wniesie w Radzie państwa projekt odpowiedniej ustawy, skoro tylko okaże się to możebne. Minister Körber rozmawiał z każdym członkiem deputacyi z osobna, najdłużej zaś z hr. Potockim, który upewnił ministra, że każdy z pracodawców w dobrze zrozumianym własnym interesie powita z radością tę ustawę.

Nie ulega już wątpliwości, że sprawa pensyjnego ubezpieczenia urzędników prywatnych zupełnie w myśl własnych ich życzeń będzie załatwioną, skoro tylko wewnętrzne stosunki polityczne pozwolą wogóle na jej traktowanie w Radzie państwa.

Nazajutrz 12 t. m. byli reprezentanci grup polskiej, czeskiej i niemieckiej u ministrów dra Piętaka i dra Rezeka, którzy przyjęli deputacyę nadzwyczaj życzliwie i dali zapewnienie, że użyją swego całego wpływu, aby projekt ustawy o przymusowem zabezpieczeniu urzędników prywatnych był wniesiony w Radzie natychmiast po jej zwołaniu.

Rękawiczki oficerskie. Cesarz pozwolił, by oficerowie nosili w porze zimowej białe rękawiczki wełniane z wyjątkiem wystąpień w pełnej gali, w których przepisane są rękawiczki skórkowe.

Sprostowanie. Otrzymujemy następujące pismo: Lwów dnia 15 lutego 1900. Na podstawie § 19 ustawy prasowej, proszę uprzejmie o umieszczenie w najbliższym numerze szacownego pisma w rubryce „Kronika" następującego sprostowania:

Wiadomość podana w kronice czasopisma *Przegląd* z dnia 15 lutego b. r. nr. 36 pod tytułem „Bezpieczeństwo we Lwowie", jakoby porucznik K. został uwiadomiony o zamierzonym na niego zamachu dopiero po wykonaniu takowego nie odpowiada rzeczywistemu stanowi rzeczy, gdyż, wedle aktów sprawy, uwiadomiła tego porucznika o grożącym mu zamachu wskutek pisma tutejszej c. k. Dyrekcyi policyi z 5 lutego br. c. k. Komenda placu w przededniu atentatu.

C. k. radzca dworu i dyrektor policyi
Krzaczkowski.

---

2)

Z salonu sztuki.

(Ciąg dalszy).

Jakkolwiek jednak jest, czy te stany są bardziej czy też mniej wyraźne, każdy obraz powinien być pod tym względem jednolitym, i wraz z przedmiotami namalowanymi na nim wydobywać z przyrody ich wartość psychologiczną. Pozornie mogłoby się wydawać, że w ten sposób wymaga się w obrazie czegoś, co leży poza nim. Tak nie jest. P. Stanisławski, który wywarł znaczny wpływ na p. Trusza lubi także malować takie drobne rozmiarami i tematem pejzażyki. Ale u niego prosty łan zboża, pole kapusty, grupka drzew, ścieżka w głąb płaskiego terenu, to wszystko nie jest oderwane od reszty przyrody, lecz związane z nią i z człowiekiem, niewidzialnymi nitkami nastroju. Znakomity artysta ujmuje w ramy taki obszar terenu, który najbardziej skupia w sobie całą malarsko-psychologiczną zawartość jakiegoś obszernego kawałka przyrody. W miarę oddalania się od tego punktu mętnieje teren, zasnuwa się sinawą mgłą oddalenia, aż znika poza ramami obrazu. Zaznaczyć tu znowu wypada, że odnośnie do wrażenia wszystko jedno czy on to czyni świadomie czy nieświadomie; dość, że to czyni i dopiero po uporaniu się z nastrojem przezeń wywołanym po przywyknieniu do niego, przejść można do zastanawiania się nad świetną techniką, kontrolowania obserwacyi i środków. U p. Trusza tej pierwszej instancyi jak gdyby nie było i widz odrazu myśleć zaczyna o tem, czy to jest dobrze czy źle namalowane, czy widział kiedy coś podobnego czy nie, czy takie oświetlenie tak porozkłada się w tonach czy inaczej — wogóle przystępuje odrazu do technicznej strony obrazu. Z tego stanowiska można się nawet zachwycać wynalazkami p. Truna w dziedzinie obserwacyi i jej reprodukcyi na płótnie. Ztąd też pochodzi, że kilka jego szkiców zakupili malarze. Fakt ten mógłby p. Trusz uważać za tryumf o tyle, że obrazy jego nabyli najwięksi znawcy, bo sami malarze. Ale tryumf ten psują dwie okoliczności a mianowicie: Po pierwsze, artysta powinien działać na ogół, w którym mogą się zresztą znajdować także malarze. Powtóre, gdyby w uznaniu płynącem z pobudek czysto technicznej natury p. Trusz chciał widzieć wyłączną dyrektywę dla siebie na przyszłość, toby doszedł tam, gdzie jak mówi niemieckie przysłowie: „vor lauter Bäumen sieht man den Wald nicht". Naszem zdaniem, są to osobliwie w kolorze bardzo dobre studya (nadające się doskonale do dyskussyi pracownianych) próbki, w których mnóstwo jest szczegółów świadczących o wielkim zapale i zmyśle techniczno-obserwacyjnym. Wyższą wartość jednak przypisać im można tylko o tyle, o ile byłaby jaka gwarancya, że młody malarz gromadzi tylko w ten sposób środki mające ułatwić zdobycie innego celu. Ma on zapanować przynajmniej w pierwszej chwili nad uczuciem widza, za pomocą przestraszenia czy uradowania go jakiemś *życiem* tego kawałka natury, którą przedstawił na swoim obrazie, a którego widz sam byłby w naturze nie dostrzegł. Tego na razie w szkicach p. Trusza nie było.

Oto i powody, dla których napisaliśmy o tych szkicach tyle i to teraz, gdy już one ustąpiły z wystawy. Oprócz praktycznych względów nieszkodzenia młodemu artyście, kierowaliśmy się jeszcze i tem, że o obrazach p. Trusza jako o typowych, można rozprawiać nawet z ludźmi, którzy ich nie widzieli. Po za tem wszystkiem p. Trusz był tu tylko dobrym pretekstem, do potrącenia o kwestyę, która od czasu wystąpienia Witkiewicza, pomimo jego stanowczości estetyczno-krytycznej, pozostała otwartą. W różnicy środków działania między obrazami, których temat stanowi fabuła religijna, historyczna, rodzajowa itp. a obrazami, które pozbawione są jej w ścisłem tego słowa znaczeniu, tkwi początek tego stopniowania wartości obrazów, na które napadł Witkiewicz przed kilku laty tak ostro. Wystąpił on był wówczas przeciwko estetykom, którzy wkładając w obrazy swoje własne lub wyuczone abstrakcye, kuli dowolnie prawidła estetyczne a według nich naprzykład źle namalowany obraz religijny więcej miał wartości, niż dobrze namalowany obraz historyczny, źle namalowany obraz historyczny więcej miał być wart, niż dobrze namalowany obraz rodzajowy i t. d., czyli przenosili psychologiczną i literacką wartość sfer, z której zaczerpnięte były tematy na same obrazy.

Łatwo zrozumieć, że pejzaż w tej hierarchii zająć musiał miejsce ostatnie. O ile więc Witkiewicz atakował to przenoszenie, czy też mniej lub więcej szczere, a zawsze zawiłe argumentowanie zwolenników tej estetycznej hierarchii, o tyle słuszność była po jego stronie. Pod tym też względem ma on zasługę, gdyż wykazał, że nie temat, lecz wykonanie go stanowi wartość obrazu. Zapomniał jednak Witkiewicz o tych różnicach w wydobywaniu tematu, o których wspomnieliśmy poprzednio, i odnosząc wszystko do strony technicznej, powiedział, że doskonale namalowana kępka trawy jest lepszą od zwykłego religijnego, historycznego lub rodzajowego obrazu. Tem wpadł Witkiewicz w drugą ostateczność. I jak tamci zwolennicy hierarchii wywołali powódź dużych płócien religijnych, historycznych lub rodzajowych, słabo pojętych, źle skomponowanych i licho namalowanych, tak Witkiewicz rozpętał u nas naturalizm. Stało się to zaś tem łatwiej, że w czasie, kiedy wystąpił Witkiewicz, walczyły właśnie ze sobą o lepsze różne kierunki malarskie, jak impresyonizm, wibryzm, pointilizm itp., z których każdy uzurpował sobie wyłącznie godność jak najwierniejszego odtworzenia obserwowanego przedmiotu. Równocześnie też posypały się na wystawy szkice. Byle listek tam jakiś, oświetlony zachodzącem słońcem, wystarczał, aby na wystawie wywiesić obraz, w którym zresztą poza tym od ręki namalowanym listkiem była tylko kupa kleksów bez żadnego znaczenia. Szkicomania modna czas jakiś minęła wreszcie, jak minęły owe skrajne kierunki w malarstwie. Została tylko jako ślad widoczny po nich potrzeba malowania realistyczniejszego. Uwzględnia się już od tego czasu nie tylko t. zw. barwy lokalne, lecz oświetlenie, wzajemny wpływ tonów na siebie etc, etc. A ogółem obrazy dzisiejsze robią wrażenie jaśniejszych, barwniejszych, o czystszych plamach kolorystycznych, słowem znać musi być już na nich, że na przedmioty obrazu działają światła rozmaite, odpowiednie do tematu, a nie jedno i to samo przytłumione światło pracowniane.

Że tak jest, jakeśmy powiedzieli, najlepszy dowód w tem, iż sam Witkiewicz nie brał słów swoich tak literalnie, jak je wzięli jego naśladowcy. Znany jest powszechnie jego obraz, przedstawiający halny wiatr. Czy tam jest tylko technicznie, dobre odtworzenie szczegółów? Gdzie tam; tak samo, jak w obrazie figuralnym, jest tam i kompozycya i wyraz i psychologia; tylko, że tu zamiast wstrząsających ludźmi uczuć, wiatr halny przygina drzewa do ziemi a smutek rozlewa się po tym obrazie taki, że i w smutnych wyrazach twarzy nie można by go lepiej wyrazić. Nie brał on swej teoryi zbyt literalnie, nie brali jej też inni lepsi malarze i obrazy ich, czy takie, czy owakie będą zawsze naprzód wywoływać uczucia. Tyko u partaczy może fabuła sama czynić jakieś wrażenie, a pejzaż, który ma mniej konkretne środki przemawiania do uczucia, nic zupełnie nie powie.

(Dokończenie nastąpi).

Kłepsty satyryka. Otrzymujemy następujący list:

Szanowny Redaktorze!
„Poczciwa matka natura,
„W pomysłach nie traci głowy;
„Naprzykład, Bonawentura?
„Jest głupi ale jest zdrowy!"

Ponieważ niektórzy z moich znajomych, treść powyższej fraszki biorą do siebie, albo stosują do swoich przyjaciół, przeto oświadczam, że pisząc ją, nikogo na celu nie miałem, czego dowodem niech będzie to, że myśl do napisania jej dała mi komedya p. A. Walewskiego p. t. „Wielkie figury", gdzie jedna z działających osób, podobny dowcip wypowiada.

O wydrukowanie tych kilku słów w łamach *Przeglądu* proszę i pozostaję

z poważaniem
M. Rodoć Biernacki.

Jubileusz Sienkiewicza. Dyrekcya naszego teatru postanowiła uczcić dwudziestopięcioletni jubileusz najznakomitszego naszego powieściopisarza Henryka Sienkiewicza, wystawieniem jego wiekopomnego dzieła „Quo vadis", które to dzieło scenizował reżyser pan A. Walewski. Rzecz ta zamknięta w 10 obrazach, ilustrowana muzyką pana Słomkowskiego, ujrzy światło kinkietów w drugiej połowie marca.

Krakowska Izba handlowa wybrała wczoraj swym prezesem ponownie p. Alberta Mendelsburga, wiceprezesem p. Wojciecha Biechońskiego, delegatem Izby do prezydyum p. Henryka Schwarca.

Główna wygrana losów na budowę polikliniki w Peszcie w kwocie 100.000 koron padła przy wczorajszem ciągnieniu — jak nam telegrafują z Pesztu — na los serya 7655, nr. 75, zakupiony we Lwowie.

Sprzedaż Schodnicy. Z Wiednia piszą do *Czasu* krakowskiego: „Wyczytawszy szczegóły układu z konsorcyum francuskiem w sprawie sprzedaży kopalni naftowych firmy Wolski i Odrzywolski, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że interes to na razie bardziej niż problematyczny i że do zrealizowania jego droga jeszcze daleka. Nie każdemu wiadomo, że w Paryżu (a przedewszystkiem w Londynie) istnieje zorganizowana giełda pośredników zawodowych (maklerów), którzy w następujący sposób prowadzą swój proceder: któryś z pośredników dowiaduje się, że gdzieś daleko, przypuśćmy w południowej Afryce, czy Galicyi wschodniej, jest do wzięcia wielkie przedsiębiorstwo, z którem miejscowi ludzie poradzić sobie nie umieją. Jedzie na miejsce, ogląda przedsiębiorstwo i pyta o cenę. Następnie zasięga informacyi na giełdzie, która, jeśli interes jest większy, wysyła na miejsce jeszcze jednego, lub więcej mężów zaufania. Następnie tworzy się syndykat, ale nie na kupno, jeno na pośrednictwo. Fakt, że przy kupnie Schodnicy za 9 miljonów franków, dano tylko 100.000 fr. zadatku, daje mi niemal pewność, że rzekomym nabywcą jest jeden z opisanych powyżej syndykatów. Potwierdza to przypuszczenie także okoliczność, że druga część zadatku w tej samej wysokości, dana być ma dopiero za dwa miesiące. Świadczy to z jednej strony, że targowano się głównie o wysokość zadatku. Pierwszy zadatek uważają syndykaty z góry za przepadły, drugi zaś dają dopiero wtedy, skoro widzą już poważne widoki powodzenia. Po pierwszym zadatku rzecz przedstawia mi się więc tak, że galicyjska Kasa oszczędności za 50.000 zł. zgodziła się na przeciąg dwu miesięcy złożyć w ręce owego syndykatu wyłączne prawo pośrednictwa i związać się pewną ceną. Po drugim zadatku trzeba będzie wierzyć, że syndykat ma już do interesu zaufanie i widzi widoki powodzenia. O rzeczywistej i rzetelnej sprzedaży na razie mowy nie ma. Wreszcie przypominam, że takich „nabywców" widzieliśmy już w zakresie nafty i wosku ziemnego bardzo wielu, a jednym z nich był znany obrońca „fortu Chabrol", Guèrin, który również zostawił w Galicyi zadatek. Celem syndykatu więc jest zapewnić sobie do danego przedsiębiorstwa po pewnej cenie pierwszeństwo, a następnie szukać kapitalistów, którzyby w celu eksploatacyi tego przedsiębiorstwa założyć chcieli towarzystwo akcyjne. Pierwszą troską tego syndykatu jest więc zebranie pieniędzy nie na kupno, ale na zadatek. To też pośrednik targuje się mniej o cenę kupna, niż o wysokość zadatku. Kilkudziesięciu a nawet kilkuset członków syndykatu subskrybuje drobne kwoty, celem zebrania zadatku. Taki udział w syndykacie maklerskim np. w Londynie wynosi stale funt sterling, tak, że poszczególny członek syndykatu ponosi minimalne ryzyko, zarobić zaś może stosunkowo bardzo wiele, bo nieraz przedsiębiorstwo, nabyte np. za 5 milionów franków, daje podstawę do utworzenia towarzystwa akcyjnego na 10 milionów, czyli, że na mały zadatek, przypuśćmy 100.000 fr., przypada zysk pięciu milionów. Są to więc interesy, bardzo dobre, ale mają to do siebie, że w rzadkich tylko wypadkach się udają. To też członek syndykatu, biorący udział, przypuśćmy stoma fr., uważa tę kwotę jakby wydaną na loteryę".

O polskie nazwiska kobiece. Adwokat dr. Różański z Gdańska donosząc w urzędzie stanu, że mu się urodziła córeczka, zażądał, ażeby ją urzędnik stanu zapisał jako Różańska. Urzędnik oparł się temu i zapisał „Różański". Dr. Różański przeszedł w drodze skargi wszystkie instancye i sąd nadziemiański orzekł wreszcie, że urzędnik stanu musi na żądanie zapisać końcówki nazwisk żeńskich z literą a. Jeżeli się więc ojciec nazywa Różański lub Śliwiński, musi urzędnik stanu na żądanie ojca nazwisko córki zapisać: Różańska lub Śliwińska.

Bal polski w Petersburgu odbył się dnia 6 b. m. na rzecz domu zarobkowego miejscowego katolickiego Towarzystwa dobroczynności. Przybyło nań tyle osób, że już o godz. 12 trudno się było poruszać. W jednym z kiosków wino szampańskie sprzedawały pp. Kiewnarska i Kieranowska, w drugim zaś owoce—pp. Elżanowska, Glinojecka, Piltzowa, Wojewódzka i inne. Tańce były bardzo ożywione. Na balu między innymi byli obecni: hr. Tyszkiewicz, generał-lejtnant Jocher, gen.-lejtnant Żyliński, p. Święcicki itd. Zabawa trwała do godz. 4ej w nocy.

Bałamuctwa o Paranie. W *Gazecie Polskiej* warszawskiej ogłasza p. Leon Bielecki list z Kurytyby, w którym między innemi omawia mylne informacye, zawarte we „Wspomnieniach z podróży po Brazylii i Argentynie" dra St. Kłobukowskiego. Oto co pisze p. Bielecki:

Autor powiada na stronicy 91: „rzeka Tibagy słynie ze swego łożyska, pełnego brylantów i szmaragdów i tak wypełnia cały kraj złotem, że zda się, wystarczy ręką sięgnąć, aby je zgarnąć". Pomijając okoliczność, że wartość kraju dla kolonizacyi nie zasadza się na prawdopodobnych zasobach złota i dyamentów, — że garść naiwnych żałuje swojej chwilowej wiary w łatwe zdobycie bogactw na tutejszym gruncie, szkoda, że ludzie tak lekkomyślnie, jak to uczynił dr. St. Kłobukowski, w bombę reklamy zakuli prawdę — boć istotnie w okolicach Paranagua, Antoniny i innych, wydobywano złoto, ale już oddawna zarzucono poszukiwania, a późniejsze próby potwierdziły, że ilość wydobywanego kruszcu nie opłaca nawet pracy robotników. Nad rzeką Tibagy wydobywano dyamenty, ale od lat, zdaje się 30 porzucono tę pracę, bo rezultaty nie pokrywały nakładu; prawdą jest, że niektórzy tu ludzie mają woreczki „drogich kamieni", ale i to jest prawdą, że kamyczki te najczęściej nic nie są warte, a posiadacze przechowują je dlatego, że ich sprzedać nie mogą; prawdą jest, że często „pływają tłuste oczy" — dowód obecności nafty, ale należało dodać, że często zawiedziony spekulant wlewa kilka blaszanek nafty do umyślnie wykopanej studzienki, aby zwabić lekkomyślnego nabywcę, jak to zrobił w Porto União jakiś figlarz niemiecki przed paru laty i t. d., i t. d. Opowiadania podobne, niby prawdziwe a nieprawdziwe, podane w formie nęcącej, mogą być znakomitym wabikiem w rękach sprytnego agenta, ale zniechęcają ludzi poważnych do zajęcia się sprawą tak pierwszorzędnego dla nas znaczenia, jak zlokalizowanie choćby połowy tylko wychodźtwa naszego w Paranie, kraju istotnie bogatym, lecz dziecinnie przereklamowanym w tem właśnie, w czem wystarcza objektywne, z rzeczywistością zgodne przedstawienie sprawy. I jeżeli kiedykolwiek powiedzą, że ktoś splamił imię polskie, to nie pracowity nasz chłop nim będzie, ale ci poszukiwacze bogactw bez pracy.

W tej chwili do Parany przybywać mogą tylko rolnicy z zamiarem osiedlenia się na roli, ale tylko tacy, którzy albo mają tu krewniaków, albo przywiozą ze sobą gotowizny 250—300 rb. Lot (dział) ziemi około Porto-União można obecnie dostać za 150 rb., a reszta na zagospodarowanie się i przeżycie do pierwszych zbiorów; ludzie z kapitałem, celem zajęcia się handlem — po uprzedniem poznaniu języka brazylijskiego i warunków, oraz kilkunastu nauczycieli o skromnych wymaganiach, aby na koloniach otworzyć i prowadzić szkółki polskie. Innych w tej chwili czeka tu tylko nędza.

Artyści polscy w Berlinie. Donoszą z Berlina o powrocie Wojciecha Kossaka i M. Wywiórskiego z Hiszpanii, dokąd jeździli dla zdjęcia szkiców z natury do panoramy, mającej uwiecznić szarżę ułanów napoleońskich w wąwozach Somo-Sierry. Szkice te oglądał w tych dniach w pracowni Kossaka w Monbijou cesarz Wilhelm i nie tail swego podziwu dla olbrzymiej pracy przedsięwziętej przez utalentowanych malarzy naszych.

Pracowitość i twórczość Kossaka rośnie równocześnie z jego powodzeniem. Wykończył on znowu obraz, zamówiony przez cesarza Wilhelma, przedstawiający zdobycie sztandaru francuskiego przez huzarów czarnych w bitwie pod Heilsbergiem. Obraz ten posiada wszystkie zalety Kossakowskiego pędzla: doskonałą kompozycyę akcyi, przepyszny rysunek walczących do ostatniego tchu żołnierzy, konie jak żywe, barwy świetne i całość dysząca grozą bitwy. Jest to już trzeci z rzędu obraz wykończony w ostatnich kilku miesiącach przez Kossaka na zamówienie cesarza Wilhelma.

Jak Polacy marnotrawią pieniądze. *Birżewyja Wiedomosti* opisują fakt następujący: Do naczelnika stacyi kolejowej w Dźwińsku zgłosił się młody obywatel ziemski z okolic tego miasta i zażądał specyalnego pociągu kuryerskiego pod warunkiem, aby pociąg przybył do Petersburga nie później, jak o 2-ej w nocy. Zapytany o przyczynę takiego pospiechu młodzieniec odpowiedział, że tego samego dnia jest bal w Petersburgu, na którym dał słowo tańczyć mazura z pewną panną. Przygotowano pociąg, składający się z lokomotywy i 2-ch wagonów, a uszczęśliwiony młodzieniec zapłacił w kasie 1.002 ruble. Ów marnotrawny obywatel nazywa się Franciszek Mohl, jest właścicielem dóbr Józefinowo pod Dźwińskiem, a niedawno odziedziczył bardzo znaczną sukcesyę.

Z Rodatycz w pow. gródeckim piszą nam: Już od dość dawna dopominają się mieszkańcy Rodatycz i okolicy, ażeby stacyę kolejową, istniejącą w tem miasteczku, otwarto także do użytku publiczności, lecz niestety naprożno. Stacyę tę obsługuje stale 2 urzędników i liczny personal służbowy, a jednak publiczności nie wolno w Rodatyczach wsiadać ani wysiadać, mimo tego, że niektóre pociągi osobowe tu się zatrzymują. Stacya nasza od otwarcia ruchu kolejowego na linii Lwów-Kraków stale funguje; są odpowiednie zabudowania, jest urząd telegraficzny (z którego jednak miejscowa publiczność korzystać nie może), jednem słowem jest wszystko, co potrzeba, ale to wszystko istnieje tylko dla kolei, a nie dla publiczności. Na wszelkie prośby dawały władze odnośne zawsze stereotypową odpowiedź, że stacya w Rodatyczach otwartą być nie może dla braku dojazdu. Obecnie i tę trudność usunięto, bo p. Antonina Mirska, właścicielka Rodatycz, znana ze swej dobroczynności, ofiarowuje bezinteresownie potrzebny kawał gruntu, lecz mimo tego dyrekcya kolei dotąd nie chce uczynić zadość tak ogólnie odczuwanej potrzebie. I nadal więc mieszkańcy naszego miasta muszą dla załatwiania rozmaitych spraw w sądzie lub starostwie, jako też na częste jarmarki, odbywające się w sąsiednich miastach i miasteczkach, iść piechotą kilka mil, lub trudzić konie. Pocztę otrzymujemy, mimo dość ożywionego ruchu listowego, raz tylko na dzień i to dopiero po południu, a więc naglących spraw, wymagających bezzwłocznej odpowiedzi, w tym samym dniu załatwić nie można, zwłaszcza, że Rodatycze posiadają 2 mile kwadratowe powierzchni. Takie utrudnienia w komunikacyi kolejowej i pocztowej sprawiają też, że świeżo zawiązana u nas spółka mleczarska, mimo najszczerszych chęci, nie może swej działalności rozpocząć.

Apelujemy tedy tą drogą do dyrektora kolei, radzcy dworu p. Wierzbickiego, który niejednokrotnie okazał szczerą chęć służenia krajowi i sprawom publicznym, tudzież do gródeckich władz politycznych i autonomicznych, które najlepiej znają naglącą potrzebę otwarcia dla publiczności stacyi w Rodatyczach, i mamy nadzieję, że tylokrotnie objawione życzenia, raz przecie zostaną uwzględnione.

Co można słyszeć na koncercie we Lwowie. Pewien obywatel, który umyślnie przyjechał do Lwowa na jeden z koncertów, opowiada, co na owym koncercie słyszał zamiast muzyki:

— Pani przyszła, czy przyjechała?
— Przyszł.... przyjechałam.... widzi pani Szuszwalkowską?
— Widzę, szkaradnie się uczesała.
— Czytaj, Maniusiu, czytaj....
— Gdzie to? które to?
— O, tu, tu.... Patrz-no tam, czy to Edward?
— On... nie, nie on.... owszem on....
— Ale też i bluzka — okropność!...
— W jej wieku taka bluzka!...
— Powiadam pani spotkałyśmy się u szwaczki....
— Gdzie pani robi?
— Na Pańskiej.... Widzi pani, tam pod oknem — Brzuszkiewicz!
— Z kim on jest?
— Daj Maniusiu, program.... Aha, potem sonety.
— Po czem sonety? Jakie?
— Czekaj.... Odkłoń się.... Mickiewicza.... Edward się kłania.
— Cóż ta znowu za wstążkę przypięła!
— Szpilką, zwyczajną szpilką!
— Nie dostanie Lufci, bo ona podobno ma jakiegoś obywatela ze wsi.
— E, nie wiadomo, jaki to obywatel....
— Jakto jaki? ma wieś....
— Zobacz, Helu, z pod paska mi wychodzi?
— Nie, nie, dobrze jest.
— Szkoda, żem pranych rękawiczek nie wzięła, nie byłoby znać tutaj.
— Gdzie siedzą Klapsińscy?
— Śmiałabym się też, żeby ten obywatel dał im nosa.
— O, Lufci już się nie wiadomo co zdaje!
— Mówię ci, że mi z pod paska wychodzi.
— Ależ nie, tylko się nie ruszaj.
— Czy oni to samo powtarzają?
— Gdzieżtam, dopiero kończą.
— Czytaj Maniusiu program, co tam?
— Brzuszkiewicza nie zaprosili do Abowiczów....
— Wiem, to dlatego, że odebrali anonim.
— Anonim? a to zabawne!
— Ja wolę męskie chóry.
— I ja także.
— Szkoda, że koło nas mężczyzn znajomych nie ma!
— Niedobre miejsca!

Zmarli. W Tarnopolu Marya Rosenstokówna, córka lekarza powiatowego, lat 20. — W Hulczu w Sokalskiem Marya Krzyżanowska, właścicielka dóbr. — W Krakowie dr. Teofil Ziemba, profesor gimnazyum św. Anny i literat, lat 53.

Stan powietrza. T. o g. 7 rano +1, w poł. —0 R. Bar. 754. Spada. Śnieg.

Rady sezonowe.

...A gdyś przywdział na tors, godny
Fidyaszowych dotknięć dłuta,
Gors tak biały, jako śniegi,
A hartowny jak stal kuta;
A gdyś wtłoczył na swe dłonie
„Numer osiem" rękawice
I trzasnąwszy szapoklakiem,
Krok kierujesz na ulicę;
A gdy, wziąwszy monokonkę,
Przyjechałeś na plac balu,
Zostawiłeś przyodziewek
W przedpokoju, czy portalu;
Tedy — ukłon raz złożywszy
Pani domu, gospodyni,
Służbę zręcznie też wybadaj,
Ile potraw *menu* czyni.
A jeżeli służba wyzna,
Że u państwa chuda fara,
Dawaj nura, bracie miły,
Jak zasada każe stara.

Repertuar teatru hr. Skarbka. Dziś we czwartek „Bal maskowy" Verdi'ego. W piątek (wznowienie) „Wróble", komedya w 3 aktach Labicha i Delacour. W sobotę po południu „Otello", tragedya w 5 aktach Szekspira, wieczorem „Żydówka", wielka opera w 3 aktach Halevy'ego. W niedzielę po południu „Jarmark małżeński", krotochwila w 3 aktach Jerzego Okonkowskiego, wieczorem „Traviata", wielka opera w 4 aktach Verdiego. W poniedziałek po raz pierwszy „Kordyan", poemat dramatyczny Juliusza Słowackiego w 10 obrazach; nowe dekoracye i nowe stylowe kostyumy. We wtorek „Tannhäuser", wielka opera w 3 aktach Rysz. Wagnera. We środę „Kordyan".

Literatura i sztuka.

* **„Na około świata".** Pod tym tytułem wychodzi, jak wiadomo, wydawnictwo, zawierające widoki okolic, miejscowości i typów mieszkańców wszystkich pięciu części świata, wykonane w kolorach naturalnych. Właśnie wyszedł zeszyt 12, ostatni z pierwszej seryi; zawiera on 8 widoków z angielskich Indyi wschodnich, z tekstem objaśniającym pióra prof. Michała Lityńskiego. Widoki te są starannie wykonane wedle zdjęć fotograficznych i uzmysławiają wybornie barwne egzotyczne życie w Kalkucie, Bombayu i innych miejscowościach indyjskich. Zeszyt pierwszy drugiej seryi wyjdzie w bieżącym miesiącu i zawierać będzie widoki z Ziemi świętej. Cena każdego zeszytu 45 ct.

* **Krippen-Kalaender, 1900.** Czterdziesty ósmy rocznik tego kalendarza, wydawanego przez centralny wiedeński związek ochronek dla dzieci, zawiera w tym roku 800 stron. Dochód z tego dzieła, kosztującego 3 korony za egzemplarz przeznaczony jest na ochronki, w których około 400 dzieci od niemowlęctwa począwszy aż do wieku kilku lat znajduje przytułek. Obok tego szlachetnego celu ma książka ta tę jeszcze zaletę, że zawiera mnóstwo doskonałych informacyi z dziedziny hygieny dla matek, dla rodziny, domu, handlu, kantoru, fabryki itd. W końcu znajduje się tam dokładny przewodnik po Wiedniu. Zamówienia za pomocą karty korespondencyjnej przesyłać należy do redakcyi kalendarza: Wiedeń, I Bezirk, Seilerstätte Nr. 10.

Głosy publiczności.

Związek katolickich Towarzystw i Zakładów dobroczynnych składa niniejszem podziękowanie pp. Dzidowskiej i Józefie Treterowej, które ofiarowały 2 maszyny do szycia. Jedną z nich przeznaczono dla rodziny N., drugą obdarzono inną rodzinę, zostającą pod opieką Towarzystwa. *Thullie.*

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 13 lutego.

(Z.). Z Londynu sygnalizowano dziś dotkliwy spadek kursu konsoli angielskich. Wnoszą stąd, że giełda londyńska musiała otrzymać niezbyt pomyślne wiadomości o zajściach na teatrze wojny. Dzisiejszy spadek konsoli jest rządowi angielskiemu niezawodnie bardzo nie na rękę, gdyż właśnie w najbliższych dniach zamierzał on przystąpić do emisyi nowej partyi konsoli $2^3/_4$%-wych na koszta wojenne. Podobno chce rząd wypuścić te konsole po minimalnym kursie 98 za 100. Ta cyfra 98 najwymowniej świadczy o niekorzystnej dla Angli zmianie w ciągu krótkiego okresu niespełna lat dwóch. Przed dwoma laty bowiem kurs tych samych konsoli wynosił 114. Spadek konsoli angielskich wywarł dziś wielkie wrażenie i w Paryżu i w Berlinie. Nadto miał dziś Berlin jeszcze jeden motyw zniżkowy, a mianowicie ponowne podrożenie gotówki w eskoncie prywatnym. Wobec tego, że ultimo już niedaleko, nabiera to podrożenie gotówki tem większego znaczenia, gdyż uchyla nadzieję dalszego obniżenia stopy procentowej w Niemczech w ciągu lutego. — Na naszej giełdzie nastało zaraz z rozpoczęciem obrotów skutkiem tych niekorzystnych wpływów zagranicznych usposobienie zniżkowe i utrzymało się aż do końca. Specyalna haussa wytworzyła się tylko w kilku lokalnych walorach, przedewszystkiem w akcyach fabryk maszyn i wagonów. Akcye fabryki wagonów w Simmeringu podskoczyły w cenie o $4^1/_2$%, fabryki nesseldorfskiej o 9%, a fabryki maszyn w Wiener-Neustadt aż o 12%. Powodem tej haussy są pogłoski o zamierzonem bardzo znacznem powiększeniu taboru pociągowego nietylko kolei państwowych, ale i wszystkich prywatnych. Mówiono, że rząd przeznacza na ten cel bardzo znaczną część wypuścić się mającej renty inwestycyjnej w sumie 120 milionów koron i że minister kolei żelaznych zaprosił już do siebie na konferencyę reprezentantów wszystkich austryackich fabryk maszyn i wagonów, by upewnić się, że zamówienia zostaną na czas wykonane. Przedsiębiorstwom tym otwiera się zatem pole wydatnego zarobku na lat kilka, tem bardziej, że otrzymają one podobno także znaczne zamówienia z zagranicy, gdyż fabryki w Niemczech, Francyi i Belgii nie chcą przyjmować nowych obstalunków, bo starym zaledwie mogą podołać.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 236·75, węgierskie 188·25, Angliobanki 124·50, Uniony 155·50, Bankvereiny 136·25, Länderbanki 118·25, Ludwiki 100·60, Czerniowieckie 142·75, Elbethale 125·00, Renta papierowa 99·95, srebrna 99·95, austryacka złota 99·20, austr. renta wal. kor. 99·60, węgierska złota 98·85, węgierska renta wal. kor. 94·25, dukat 11·38, frankówka 19·24, marki 23·62, ruble $2·55^1/_4$.

§ **Petersburg** 15 lutego. Wczoraj ukonstytuowało się tu zatwierdzone przez cara Towarzystwo dla elektrycznych zakładów z kapitałem zakładowym 6 milionów rubli.

§ **Sprawozdanie targowe** ogólnego Związku hodowców i handlarzy bydła we Lwowie ul. Kopernika l. 7.

Targ lwowski 14 lutego. Spęd średni. Płacono za żywe woły opasowe po 56—73 kor. za 100 kilo żywej wagi. Ceny mięsa w rzeźni przednie od 0.96—1.04 kor., tylne od 1.00—1.8.

Targ wiedeński 12 lutego. Z powodu co do ilości i jakości słabo obesłanego targu, mianowicie o 700 sztuk mniej, ceny każdego gatunku podskoczyły o 1—2 kor., a szczególnie lepszy towar miał dobry popyt z powodu zakupna na konserwy. Ogólnyspęd 4407 sztuk, wołów opasowych 3329, między tymi galicyjskich 471 sztuk. Płacono za galicyjskie woły opasowe prima: 70—75 kor., sekunda 66—70, tertia 64—66 k. za 100 kilo żywej wagi.

Targ praski 12 lutego. Spęd 498 sztuk, między tymi 181 sztuk galicyjskich. Płacono za galicyjskie woły średnie 60—70 kor., krowy 50 do 58 k., buhaje 62 do 72 k. za 100 kl. żywej wagi. Targ dobry.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

Wiedeń 15 lutego. Wobec licznych zapytań, dlaczego nie nastąpił jeszcze w roku bieżącym rozdział zapomóg dla personalu pomocniczego w urzędach państwowych, donosi *Wiener Abendpost* na podstawie autentycznej informacyi, że wskutek regulacyi płac urzędników państwowych okazała się potrzeba ułożenia nowego klucza dla rozdziału zapomóg. Należy się spodziewać, że prace te będą w ciągu kilku tygodni ukończone, poczem rozdział zapomóg bezzwłocznie nastąpi.

Budapeszt 15 lutego. W sejmie węgierskim prezydent ministrów Szell w odpowiedzi na wywody posła Bathyanyego, stwierdził przynależność miasta Rieki do Węgier. Każda sprawa, dotycząca Rieki pod względem administracyjnym i legislatywnym podlega parlamentowi węgierskiemu. Ustawy węgierskie obowiązują także Riekę, jakkolwiek rząd gotów chętnie uwzględnić specyalne stosunki tego miasta, jednakże bezwzględnie stoi na stanowisku państwowej zwierzchności wobec Rieki i zastrzega się przeciwko udzielaniu temu miastu prawa „veta". Odpowiedź Szella przyjęto oklaskami.

Wiedeń 15 lutego. Wczoraj odbył się tutaj ze zwyczajnym przepychem bal miasta Wiednia, na którym był Cesarz i wszyscy arcyksiążęta.

Wiedeń 15 lutego. *Wiener Zeitung* ogłasza patent cesarski, zwołujący sejm dolnorakuski na 20 lutego.

Cesarz zamianował prezesa morawskiej Rady krajowej Karola hr. Zierotina, namiestnikiem Morawii.

Falknów 15 lutego. Na wczorajszem posiedzeniu urzędu pojednawczego dla rewiru Falknów Loket (Eilbogen) nie zjawili się zastępcy przedsiębiorstw; wobec tego przewodniczący oświadczył, że obrady urzędu zamyka bez rezultatu.

Raszyce 15 lutego. Strejk robotników w kopalni żelaza z dniem wczorajszym został ukończony. Robotnicy rozpoczęli pracę na nowo.

Leoben 15 lutego. Towarzystwo górnicze przyjęło koncesye ułożone przez urząd pojednawczy. Z tego powodu strejk w kopalni Seegraben został już ukończony.

Pilzno 15 lutego. Sytuacya dotąd niezmieniona. Dziś odbędzie się narada kierownika urzędu pojednawczego z przedstawicielami robotników w celu nakłonienia ich do rozpoczęcia pracy.

Śmichów (przedmieście Pragi) 15 lutego. Lód na tak zwanej Kaiserwiese załamał się pod sześcioma ślizgającymi się tam chłopcami. Trzech z nich wydobyto żywych, reszta zaś utonęła.

Berlin 15 lutego. Biuro Wolfa donosi z Apii, że na uroczystość imienin cesarza niemieckiego wysłali samoańczycy dwóch wodzów swoich do konsulatu niemieckiego, którzy oświadczyli, że ludność miejscowa poddaje się pod panowanie niemieckie.

Wiedeń 15 lutego. Na wczorajszem posiedzeniu rady nadzorczej Towarzystwa akcyjnego „Schodnica" przedłożono bilans za rok 1899. Czysty zysk wykazano w sumie 1,180.170 zł. Po udotowaniu rezerw i tantyem pozostaje suma 973 521 zł. Rada nadzorcza uchwaliła zaproponować walnemu zgromadzeniu, zwołanemu na 28 b. m., rozdział dywidendy w wysokości 60 zł. (120 koron) od akcyi; reszta w kwocie 13.221 zł. ma być zapisana na nowy rachunek.

Bruksela 15 lutego. W izbie deputowanych przyszło do burzliwych scen podczas obrad nad przedłożeniem przywileju Banku narodowego. Z powodu żywej wymiany słów między ministrem kolei Liebertem a socyalistą Denisem powstała formalna bójka socyalistów z kilkoma członkami prawicy tak, że posiedzenie musiano przerwać.

Po przerwie prezydent postawił wniosek, ażeby socyalistę Demblona, który najgorsze wyprawiał burdy, na jakiś czas z posiedzeń izby wykluczyć. Izba wniosek przyjęła. Gdy Demblou wzbraniał się dobrowolnie wyjść z sali, prezydent posiedzenie odroczył.

Petersburg 15 lutego. Po dziewięciodniowej rozprawie zasądzono Jana Groesa, szefa tutejszej filii Credit-Lyonnais, za roztrwonienie sumy 90.000 rubli na utratę wszelkich praw i na 2 lata rot aresztanckich. Współwinny buchalter Węgiel skazany został na jeden rok rot aresztanckich i również na utratę wszelkich praw.

Rzym 15 lutego. Prezes gabinetu jenerał Pelloux zachorował na influencę.

Wojna w Afryce.

Londyn 15 lutego. Generał Roberts telegrafuje z obozu nad Riet-river: Porucznik Hannay, w odległości $1^1/_2$ godziny drogi od rzeki Oranje, maszerując w kierunku do Ramah, starł się z małym oddziałem nieprzyjacielskim i zmusił Boerów do ucieczki, poczem dotarł do Ramah. Anglicy stracili w tej potyczce 4 zabitych, 22 rannych; 13 zaś żołnierzy nie odszukano.

Jenerał French przeszedł 12 b. m. rzekę Riet koło Dekilsdrift.

Drugi telegram Robertsa z daty wczorajszej donosi: Jenerał French przekroczył Modder-River koło Klipdrifs i obsadził pagórki na północ od rzeki; zabrał on wiele zapasów żywności Boerów, a równocześnie zdobyły wojska angielskie dwa obozy Boerów.

Przyjechali dnia 15 lutego. J. Pogorski z Chyrowa. Hr. W. Olizar z Strzemilcza. Hr. Łubieńska z Krakowca. Z. Sędzimir z Krakowa. A. Krzątowski i Z. Smichowski z Warszawy. O. Karmelczuk z Odessy. F. Iwaniuk z Kijowa. S. Zarandowicz z Rumunii. O. Kleczkowski z Jass. D. Klemenczuk z Rosyi. S. Apfelbaum z Bukaresztu. Z. Schumeher z Londynu.

Przyjechali dnia 15 lutego. W. ks. Giedroyć z Mostów. L. hr. Dębicki z Jaworowa. M. hr. Grabowska z Koniuch. M. br. Rahden, M. Gladkof i dr. S. Iwanowicz z Charkowa. J. Osadca z Besarabii. K. Rouveure z Wamy. J. Desensy i E. Kawalek z Pragi. K. Morawska z synem z Odrzechowa. Dr. O. Kümelman z Uhrynkowic. A. Bargman z Hamburga. S. Stankiewicz z Mityniec. J. Kapelusz z Starych Brodów. J. Zwolski z Bryniec gór. J. Krzysztofowicz z Artasowa. F. ks. Mroziński z Żulina. J. Myszkowski z Stubna. J. Horwitz z Wrocławia. Major W. Woźniak z Kent. J. Graffstein z Wiednia. Dr. M. Rosenstock z Skałatu.

Przyjechali dnia 15 lutego. Dr. J. Walewski z Nossowa. J. Zadurowicz z Owelic. Dr. A. Bobrownicki z Drohomyśla. B. Rozwadowski z Turówki. K. Hadinger i E. Hentschel z Wiednia. W. Zieliński z Iwonicza. J. Grunwald z Worochty. K. Brauns z Wygody. W. Samesch z Wiednia. St. Geppert z Czortkowa. Dr. St. Schätzel z Brzeżan. G. Broders z Londynu.

Lwów 15 lutego. (Z Izby handlowej).

Obliczenie wedle nowego systemu w walucie koronowej za 100 koron wartości nominalnej, z wyjątkiem losów, których kurs liczy się od sztuki.

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 420 koron 100·50 do 101·50 Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 400 kor. 142·25 do 144·25. Banku hipotecznego po 400 kor. 178.— do 183·—. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do 80·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 95·— do 100·00. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 97·00 do 98.00

Listy zastawne za 100 ko. Banku hipot. galic. 5 proc. losy w 50 lat. z 10 proc. prem. 109·00 do 109·70 4 i pół proc. los. w 50 lat 98·30 do 99·00, 4 proc. los. w 60 lat 92·50 do 93.20. Banku kraj. 4 i pół proc los w 51 lat 99.80 do 100·50. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 96·00 do 96·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 94·50 do 95·20, 4 proc. los w 41 i pół latach 94·50 do 95·20, 4 proc. los w 56 lat 94·30 do 95.00,

Obligi za 100 ko., Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 96·80 do 97·50. Bukowińskiego fund. gropin. 5 proc. 103·50 do —·—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 100·30 do 101·00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 95·50 do 96·20. Pożyczki kraj. 6 proc. 103·00 do —·—. 4 proc. z 1893 r. 94.10 do 94·80, miasta Lwowa po 200 koron 91·40 do 92·10.

Monety. Dukat cesarski 11·35 do 11·45. Napoleondor 19·17 do 19·27. Rubel rosyjski papierowy 255·00 do 257.00. 100 marek niemieckich 117·70 do 118·30.

Wiedeń 15 lutego. (Giełda towarowa). Cukier (spokojnie) 26·—26·10. Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus 39·60—40·

Berlin 15 lutego. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 84·60. Spirytus 47·10.

Paryż 15 lutego. Z powodu święta kursów nie notowano.

Frankfurt 15 lutego. (Wczorajsza giełda wieczorna). Kredyty austryackie 236·50; kolej państwowa 140·80; alpiny 000·00; disconto 194·40; laura 273·40.

Wiedeń 15 lutego. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na na wiosnę 7·87—7·88, na maj czerwiec 7·96—7·97, na jesień 8·07—8·08; żyto na wiosnę 6·77—6·78, na maj-czerwiec 0·00—0·00, na jesień 6·84—6·85; kukurudza na maj-czerwiec 5·35—5·36, na czerwiec-lipiec 0·00—0·00, na lipiec-sierpień 0·00—0·00; owies na wiosnę 5·36—5·37, na maj-czerwiec 5·47—5·49, na jesień 0·00; rzepak na styczeń-luty 00·00—00·00, na sierpień-wrzesień 12·50—12·60; olej rzepakowy na styczeń-kwiecień $32^1/_2$—$33^1/_2$. Tendencya: mdła. Pogoda: pada śnieg.

Budapeszt 15 lutego. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na kwiecień 7·69—7·70, na październik 7·88—7·89; żyto na kwiecień 6·42—6·43; owies na kwiecień 5·07—5·08; kukurudza na maj 5·06—5·07; rzepak na sierpień 12·30—12·40. Oferty na pszenicę umiarkowane. Chęć kupna ograniczona. Tendencya: mdła. Pogoda: wietrzno i wilgotno.

11)

CORLEONE

POWIEŚĆ

Maryona Crawford.

Tłómaczyła z angielskiego Zofia baronowa Hartingh.

(Ciąg dalszy).

Aliandra nie wiedziała nic o tem, bo Teobald zbyt był przebiegłym, aby wyjawić komukolwiek sposób, jakiego użył na brata. Byłoby to ją raz na zawsze odstręczyło od niego, bo moralnie stała ona o wiele wyżej od obu braci, którzy posiadali w wysokim stopniu dar zachowywania pozorów przyzwoitości i imponowania niemi swemu otoczeniu. Teobald naprzykład skłonnym był do szalonych napadów uniesienia, w których tracił zupełnie władzę nad sobą i był w stanie posunąć się do ostatecznych granic gwałtowności; zdarzało się to jednakże dość rzadko, bo na pozór był on bardzo zamkniętym w sobie. Francesco był chytry i zręczny i umiał przypodobać się kobietom. Obaj oszukiwali Aliandrę, która im sprzyjała, pomimo przestróg ojca i napomnień ciotki.

Aliandra miała ogromne powodzenie pierwszego roku w Rzymie i była na tyle rozumna, że zyskała sobie opinię nieprzystępnej dla wszystkich swoich wielbicieli. Tylko Teobald i Francesco, których uważała już teraz za starych przyjaciół, mieli wolny wstęp do jej ubieralni w teatrze i do spokojnego mieszkania, które zajmowała razem z ciotką.

W dniu, w którym odbywał się proszony obiad w pałacu Sarascinesca, Aliandra miała po raz pierwszy występować w roli Łucyi w Rzymie. Obaj Pagliukowie woleliby byli o wiele iść do teatru, niż spędzić wieczór w towarzystwie tych sztywnych i napuszonych rzymskich arystokratów. Obaj też postanowili skrycie zobaczyć się z nią, zanim, po skończonem przedstawieniu, powróci do siebie. Teobald, jak zawsze, postąpił despotycznie, rozkazując bratu odwieźć matkę i siostrę do domu.

Francesco ulegle wsiadł do karety, a Teobald oświadczył, że woli wracać pieszo. Nie znał jeszcze dość dobrze Rzymu, ale mniemał, że znajdzie sam drogę z pałacu do niezbyt oddalonego teatru Argentino. Trudno mu jednakże przyszło oryentować się wśród starej dzielnicy, gdzie mnóstwo ciemnych, krytych ulic zbiega się w placyki i krzyżuje na każdym kroku. Co chwila oglądał się za siebie instynktownie chwytając za rewolwer, bez którego nigdy się nie ruszał. Spojrzał na zegarek i spostrzegłszy, że była już jedenasta, zdecydował się wziąć dorożkę, ale że nie łatwo było ją znaleźć w tej odludnej części miasta, więc upłynęło jeszcze ze dwadzieścia minut, zanim dojechał do bocznego wejścia teatralnego gmachu. Stary, zmęczony i bardzo brudny odźwierny otworzył mu drzwi i spojrzawszy na jego bilet wejścia, wpuścił go, nie rzekłszy słowa.

Tutaj Teobald znalazł się już na znanym gruncie i puściwszy się wzdłuż ciemnego korytarza, oświetlonego tylko jednym przykręconym, dla oszczędności, rożkiem gazowym, zastukał głośno do drzwi na lewo i wszedł, nie czekając odpowiedzi.

W małej, nisko sklepionej ubieralni znajdowały się trzy osoby, które z pewnym niepokojem spojrzały na przybysza.

Aliandra siedziała przed mętnem lusterkiem, ustawionem na stoliku, na którym leżało porozrzucanych mnóstwo przyborów toaletowych. Garderobiana upinała jej biały welon na włosach, a obok niej — tuż obok, siedział Francesco, który rzucił się w tył na widok wchodzącego niespodziewanie brata.

Usta Teobalda drgnęły stłumionym ruchem, gdy przystanął na chwilę, z ręką na klamce, wpatrując się w siedzącą grupę. Naraz, zatrzasnąwszy nieco za silnie drzwi, z niemiłem postąpił naprzód.

— Dobry wieczór! — rzekł. — Zabłądziłem na ulicy, dlatego spóźniłem się. Sądziłem, że zastanę już kurtynę podniesioną do ostatniego aktu.

— Wywoływali mnie raz, ale powiedziałam, że nie jestem gotowa, bo wiedziałam, że przyjdziesz — odparła Aliandra.

Była w rzeczywistości bardzo piękna i młoda, ale karmin i szminka zmieniły twarz jej prawie do niepoznania. Nawet jasne, złotopiwne jej oczy podkreślone ołówkiem, wydawały się czarne. Drobna dłoń, którą wyciągnęła do Teobalda była ubielona po same różowe paznokietki. Była ubrana w białą, powłóczystą, powiewną suknię, a blask dwóch lamp żarowych, padający z obu stron toalety, nadawał twarzy jej i peruce wyraz sztuczny i nienaturalny. Teobald, patrząc na nią, przypomniał sobie posągową prostotę dojrzałej piękności księżnej Saracinesca, ale znał odwieczną Aliandrę i widział jej urodę przez szpecące ją bielidła.

— Bardzo to uprzejmie ze strony pani, że czekała na mnie — rzekł Teobald. — Brat mój, jak widzę, zabawiał cię tymczasem.

— Ja tylko co przyszedłem — tłómaczył się skwapliwie Francesco. — Odwiozłem matkę do domu, a to dość daleko.

— Nie wiedziałem, że masz zamiar tu przyjść — zimno odparł Teobald i zwracając się do młodej kobiety, zapytał: — No i jakże tam idzie? Nowe owacye?

— Nie, czekają, rozumie się na tę scenę obłąkania — a mam dziś głos ciężki, jak ołów w gardle. Nikogo nie zachwycę.. Pierwszy raz śpiewam partyę Łucyi w Rzymie... i mam nerwy rozstrojone do niemożliwości...

— Cóż znowu?.. boisz się.. ty... signorino?!...

— Ledwo żyję ze strachu. Czuję, że blednę pod pudrem.

— Biedne dziecko! — szepnął Francesco.

— Ba! — lekceważąco wzruszył ramionami Teobald. — Zawsze to mówi...

— A tymczasem to prawda — z westchnieniem odparła Aliandra.

— Zastukano szybko do drzwi.

— Signorina Basili! Czy pani gotowa? — zapytał naglący głos z zewnątrz.

— Tak — odparła młoda dziewczyna, podnosząc się z wysiłkiem.

Francesco schwycił jej lewą rękę i ucałował. Teobald nie rzekł ani słowa, tylko skrzyżował ramiona na piersiach i cofnął się o krok w tył. Spostrzegł na czarnych wąsach brata ślady pudru, którym przyprószone były paluszki Aliandry.

— Nie czekajcie na mnie po skończonem przedstawieniu — rzekła dziewczyna. — Ciotka jest w teatrze i zabierze mnie do domu.

— Do widzenia! — żegnał się Teobald, patrząc wyraziście w jej oczy.

Ona drgnęła pomieszana.

— Przyjdź jutro — prosiła zcicha, zwracając się z progu.

— Signora Basili!.. — wołał zniecierpliwiony głos reżysera.

— Aliandra zawahała się jeszcze, patrząc na Teobalda.

— Jutro — szepnęła cicho i naglące — jutro... — powtórzyła jeszcze — biegnąc na scenę.

Rzuciła raz jeszcze oczyma w jego stronę, ale Teobald tego nie widział, bo ciemno było w korytarzu. Stał przy drzwiach, czekając na brata.

— Idę wysłuchać końca tego aktu — spokojnie rzekł Francesco, kierując się ku wyjściu.

Ale zaledwie przestąpił próg, uczuł żelazną dłoń brata, która zacisnęła na jego ramieniu, wstrząsając nim ostro. Twarz jego pobladła nagle. Teobald przyparł go do ściany w ciemnym korytarzu.

— Co sobie myślisz, przychodząc tutaj?... Jak śmiesz?... — syknął przez zaciśnięte zęby.

— Dlaczegoż nie miałbym przychodzić? Przecież to nie pierwszy raz... — tłómaczył się Francesco wystraszony.

— Bom ci zabronił... — szeptał z wściekłości Teobald. — Ostrzegałem cię... Zemszczę się na tobie, jeżeli mi będziesz wchodził w drogę...

— Puść mię, albo zawołam o pomoc! — szamotał się Francesco, blednąc, jak chusta. Tamten roześmiał się dziko i pogardliwie.

— Co za nikczemny tchórz z ciebie! — zawołał, puszczając go, wstrząsnąwszy nim po raz ostatni. — A, jaki ja głupi, że sobie co z tego robię!

— Bydlę!... — zawołał Francesco, poprawiając kołnierzyk i gładząc swój pomięty frak.

— Ostrzegałem cię — powtórzył Teobald — i jeszcze raz cię ostrzegam! a wiesz, że ze mną niema żartów. Czyż już niema innych kobiet na świecie, jak Aliandra Basili?

— Ja ją dawniej znałem od ciebie — tłómaczył się brat, odzyskując odwagę.

— Dawniej?... Wtedy, kiedy była małą dziewczynką w Randozzo? Ależ to było sześć lat temu, a od tej pory prawie, że jej nie widziałeś.

— A skąd wiesz, że tak? — szyderczo zapytał Francesco, nieznacznie posuwając się ku drzwiom.

— Skądże wiesz, że nie widywałem jej często samej w Messinie? — ze złośliwym uśmiechem ponowił zapytanie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Czerlańskiej. Drukarnia Narodowa Stanisława Manieckiego i Ski — Lwów, ul. Kopernika l. 9.